JEDNOROŻEC

Błahuszewska
Brejnak
Butkowski & Lipiński
Cholewiak
Dobija
Gawęcka
Gosławski
Górkiewicz
Jarnuszkiewicz
Lenard
Jorg
Łupińska
Marks
Olszak
Podstawek
Panek
Rutkowski
Tristereva
Trusewicz
Trusewicz
Trusov
Wamzeh
Wiech
Wróbel

ISSN 2392-3806 nr 3(3)/2015, listopad

ISSN 2392-3806
nr 3, 2015

Redaktorzy naczelni / Content Management:
Marta Marciniak, Michał Stefaniak

Autorzy:
Zuzanna Błahuszewska, Sebastian Brejnak, Stanisław Butkowski, Justyna Cholewiak, Paulina Dobija, Magdalena Gawęcka, Mariusz Gosławski, Daria Górkiewicz, Natalia Jarnuszkiewicz, Jorg, Andrzej Lenard, Jan Lipiński, Patrycja Łupińska, Sebastian Marks, Piotr Olszak, Monika Panek, Katarzyna Podstawek, Krzysztof Rutkowski, Arnelia Tristereva, Dominika Trusewicz, Michał Trusewicz, Denis Trusov, Wamzeh, Jakub Wiech, Dorota Anna Wróbel

Fotograf redakcji:
Joanna Kowalska

Korekta:
Ada Chudzik, Agata Nowak, Anna Omińska, Patrycja Piotrowska

Skład i łamanie:
Joanna Prajzendanc

Logo:
Dariuszka

Okładka:
Jacques Joseph Tissot, *Holyday*, 1876

Opracowanie okładki:
Joanna Prajzendanc

Ilustracje:
Joanna Prajzendanc

Wydawca:
Marta Marciniak, Michał Stefaniak

Miejsce wydania:
Warszawa

Strona internetowa: www.jednorozec.uw.edu.pl
Kontakt: jednorozec.redakcja@gmail.com
FB: www.facebook.com/czasopismojednorozec

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Współpracujemy z:

SAMORZĄD STUDENTÓW UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Drodzy Artyści i Czytelnicy!

Z radością dzielimy się z Wami kolejnym, już trzecim numerem *Jednorożca*! Bardzo cieszy nas obraz młodych twórców, jaki maluje się przed nami przy każdej kolejnej odsłonie czasopisma, bowiem rośnie nie tylko mnogość zgłoszeń, ale też wartość artystyczna Waszych prac.

Mamy nadzieję, że lektura *Jednorożca* będzie dla Was przyjemnością, szczególnie dla Waszego oka, zważając na bogatą paletę form wizualnych, w tym całkowicie dla nas nowych, takich jak malowanie kawą, czy komiks. Ta różnorodność dobrze oddaje fundamentalny zamysł, który towarzyszy nam od początków *Jednorożca*.

Wielkim zaszczytem jest dla nas możliwość publikowania twórczości wybitnych przedstawicieli świata sztuki i kultury, niekwestionowanych autorytetów w tej dziedzinie – w tym wydaniu prezentujemy Wam „Pont Marie", opowiadanie profesora Krzysztofa Rutkowskiego – postaci o niezwykle barwnym życiorysie i nietypowym spojrzeniu na rzeczywistość. Mamy nadzieję, że będzie to nowa tradycja służąca inspiracji i dialogowi między pokoleniem adeptów artystycznego świata, a pokoleniem osób doświadczonych w dziedzinie sztuki, ale nie pozbawionych młodzieńczego wigoru i zdolnych do rzucenia nowego światła na, wydawałoby się, przebrzmiałe zagadnienia.

Raz jeszcze życzymy miłej lektury, serdecznie zapraszamy do kontaktu z redakcją i dzielenia się swoimi próbami artystycznymi oraz refleksjami.

Zapraszamy do lektury!

Marta Marciniak

Michał Stefaniak

Jednorożec

Refleks

Andrzej Lenard, *Światło czułe* 6

Nałchnienie

Zuzanna Błahuszewska, *Śniły mi się Twoje buty obok moich* 15
Zuzanna Błahuszewska, *Warsztaty językowe* 16
Zuzanna Błahuszewska, *Listy do domu* 17
Jakub Wiech, *Na Skrzypaczkę* 18
Jakub Wiech, *Czekolada* 18
Jakub Wiech, *Zazdrość* 19
Jakub Wiech, *Na lenia* 19
Sebastian Brejnak, *Jakub i anioł* 20
Sebastian Brejnak, *Jedyne co można powiedzieć* 21
Sebastian Brejnak, *Abstrakt* 22
Dorota Anna Wróbel, *Drogi* 23
Dorota Anna Wróbel, *Piątek* 24
Dorota Anna Wróbel, *Luty* 24
Wamzeh, *spadająca gwiazda* 25
Wamzeh, *piromancja* 26
Wamzeh, *granica kosmosu* 26
Arnelia Tristereva, *Spód powiek* 27
Michał Trusewicz, *róż* 28
Michał Trusewicz, *kyrie* 29
Michał Trusewicz, *kalendarz* 30
Felek Żołądź, *Eric Garner* 31
Felek Żołądź, *Total* 31

Myśli

Denis Trusov, *Pani chce* 32
Denis Trusov, *Kundalini Samotnego Narciarza* 33
Justyna Cholewiak, *Złoty Komar* 34
Jorg, *List do M.* 37
Sebastian Marks, *Bądź wolny* 40
Krzysztof Rutkowski, *Most Marii (Pont Marie)* 47

Impresje

Pulina Dobija, *Definiowanie miłości* 56
Natalia Jarnuszkiewicz, *Niedawno* 57
SSUW, *Początek semestru z Samorządem Studentów UW* 110

Kreska

Mariusz Gosławski, *Z filiżanki* 63
Patrycja Łupińska, *Lustro* 72
Katarzyna Podstawek, *Białe złoto* 74
Dominika Trusewicz, *Soma* 79
Magdalena Gawęcka, *Wejrzenie* 82
Monika Panek, *Nieobecność* 91
Piotr Olszak, *Element* 96
Daria Górkiewicz, *Panie Piaskowe* 99
Stanisław Butkowski & Jan Lipiński, *Symbol miasta* 102

Andrzej Lenard

Światło czułe

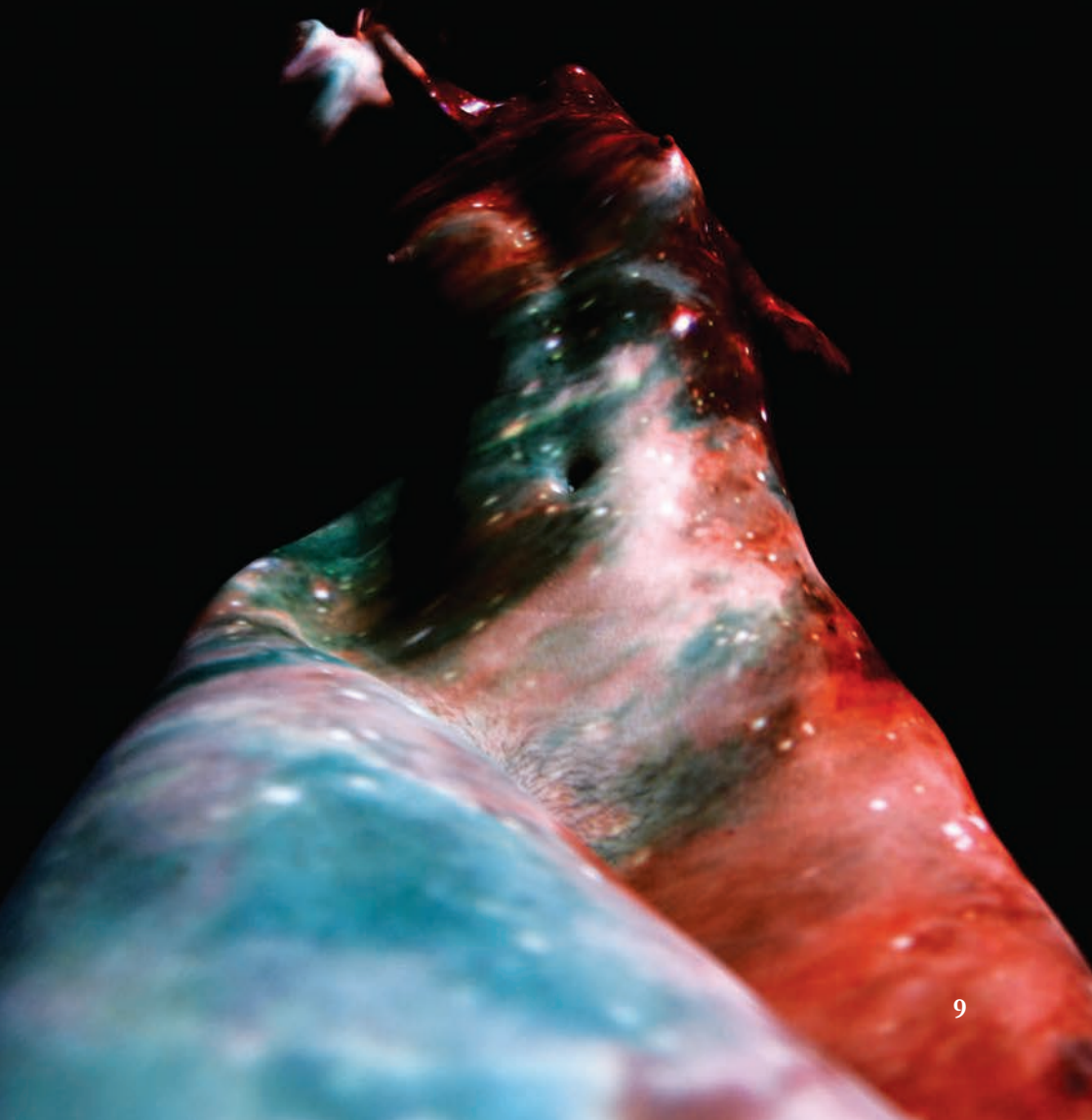

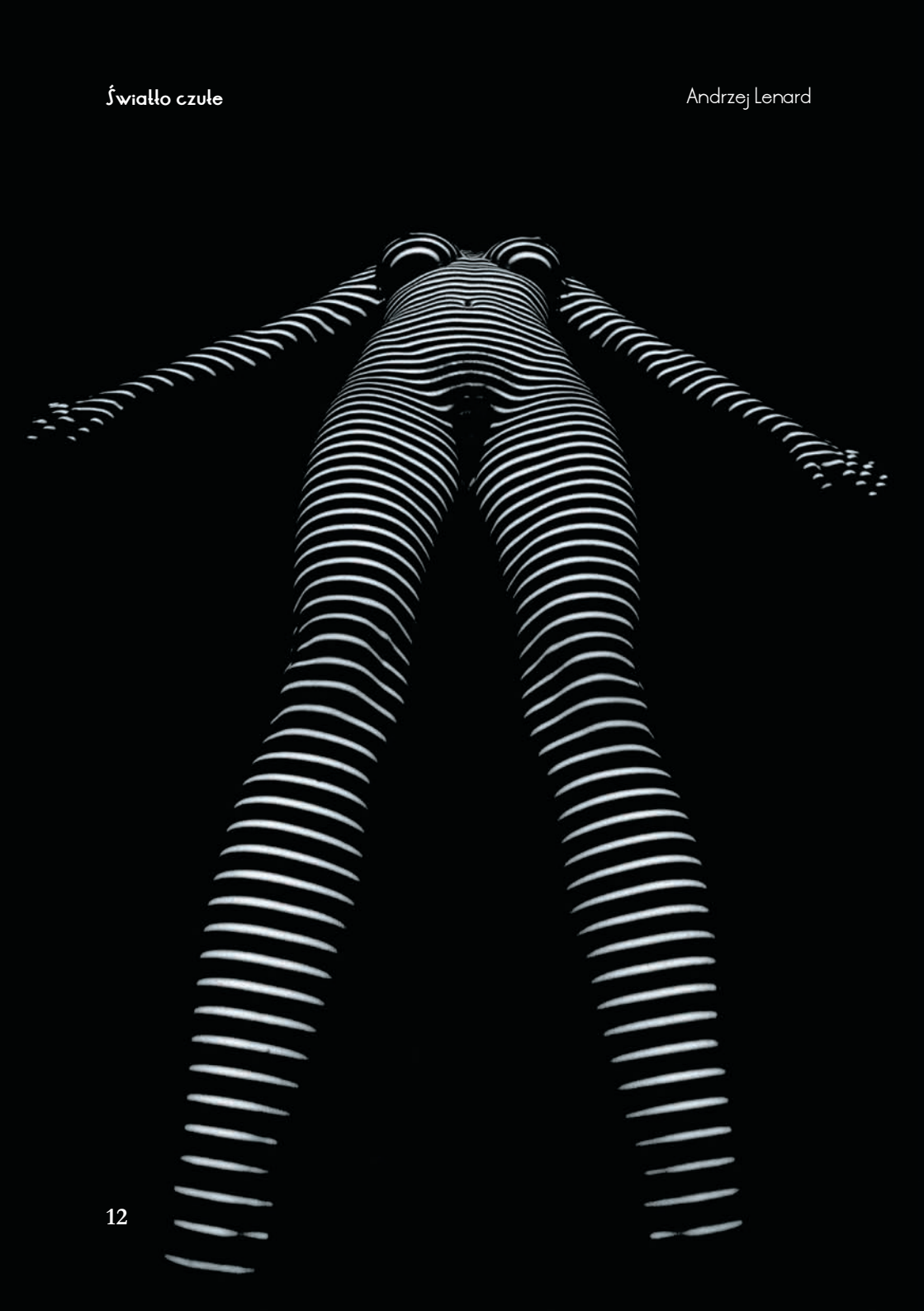

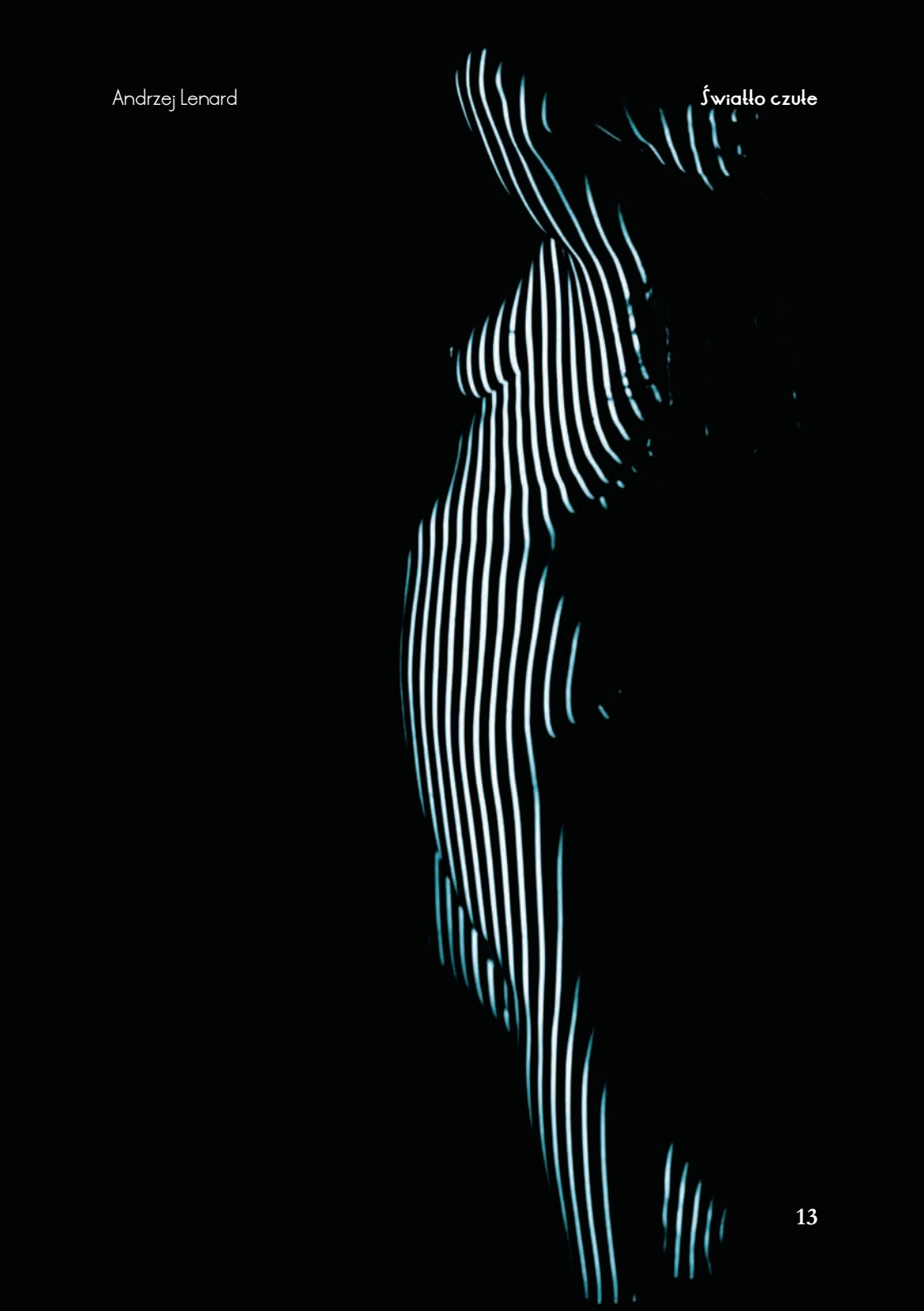

Zuzanna Błahuszewska

Śniły mi się Twoje buły obok moich

cieszmy się z małych rzeczy
przekręcając klucz w zamku
naprzeciw wybiega mi cisza
rytmicznym stukaniem
moich własnych butów
o które chciałabym potknąć
parę bliskich nóg
czyje oczy zostawiły mi
parę na lustrze?
parę na szybie?
parę na zdjęciu?
parę razy uszczypnę się jeszcze
licząc na pobudkę
obok butów w korytarzu
więc jeszcze nie wyszedłeś!
cieszyłabym się z małych rzeczy
gdybym nie potykała się
o ich echo na wycieraczce

Warsztaty językowe

jak przetłumaczyć na język ludzki
to co odczytałam z alfabetu Braille'a
wpisanego w temperaturę gęsią skórkę
wilgotną bibułkę na uchylonych powiekach

jak przetłumaczyć szyfr Morse'a?
w nocy wzywały mnie kreski i kropki
i krótkie takty z wplecionymi pauzami
na oddech

kreska
kropka kreska
kreska kropka kreska
wykrzyknik

język zawodzi przy nowo odkrytych przyprawach
bo nie może jednocześnie mówić
o fakturach, których dotyka po raz pierwszy
o słowach, na których przygryza go wstyd
kiedy gubi się na wargach w najbliższych sobie
uśmiechach

jak złapać w siatkę ze strun głosowych
tego motyla tuż tuż prawie w gardle
jak opisać sposób powstawania
prądu na szyi i światła w przestrzeni

nie umiem
słowa są wielkie
a ja malutka jak rzęsa na poduszce

zmieniła się tylko i aż
liczba pojedyncza na mnogą
i tryb przypuszczający na czas przyszły

Zuzanna Błahuszewska

Listy do domu

wszystko układa się po mojej myśli ale
nie pytaj, co u mnie słychać
bo odpowiedzią zapełniłoby się
kilka pustych kartek
zastanawiałabyś się, czy nadal
hoduję muchy w nosie niezależnie od pogody
ducha? nie, nie tracę go
czego nie można powiedzieć o sercu
do powolnej nauki raczkowania po wielkim świecie
powtarzam coraz głośniej
powtarzam „mogę"
powtarzam „więcej"
powtarzam „jeszcze"
jeszcze chwila i Warszawa
łagodnie udusi mnie poduszką
co u Ciebie? oszczędzę trochę na biletach
i naszych wzajemnych wyrzutach sumienia
bo Ty nie odbierzesz nigdy gratulacji
bo ja mam same niespłacalne rachunki

Jakub Wiech

Na Skrzypaczkę

Tak bardzo zachciałem
Skończyć z interwałem
I namówić ją w porę
Na grę con amore
By po paru taktach,
Dwóch symfoniach i aktach
W mroku usłyszeć jedyne:
Da capo al fine!

Czekolada

Najlepszym lekarzem, co leczy i bada
Jest czekolada.
Nową nadzieją, gdy stara upada
Jest czekolada.
Nieważne kłamstwa, nieważna zdrada,
Jest czekolada.
Kiedy potrzebna na problem ci rada
Jest czekolada.
Gdy rzeczywistość to degrengolada
Jest czekolada.
Dlatego co dzień pytanie to pada:
Jest czekolada?

Zazdrość

Gdybym tak go nie pragnęła,
To bym może już zasnęła.
Ze spokojem, nie jak wcześniej,
Gdy nawiedzał mnie też we śnie.
Gdybym tak go nie pragnęła,
To bym może żyć zaczęła.
Wreszcie zdarła ciasny kokon
Co choć więzi – jest opoką.
Gdybym tak go nie pragnęła,
To bym może sobie wzięła
Do serca ludzi porady
Co widzieli mój strach blady.
Gdybym tak go nie pragnęła
To bym może nie odjęła
Sobie samej dziś rozumu
I stała się częścią tłumu.
Gdybym tak go nie pragnęła
To bym może go nie dźgnęła.

Na lenia

Mógłbym stworzyć szlagier,
Gdyby pomógł szwagier,
Gdybym wstał z kanapy,
Pracą zajął łapy.
Samo planowanie
Męczy niesłychanie,
Teraz pośpię sobie.
Jutro to nadrobię.

Sebastian Brejnak

Jakub i anioł

Walka na krzyż i księżyc
krucjatę i dżihad
wąsy i tęczę
sierp i młot
rozgrywa się także
w południe laickie
pod pogańskim słońcem
niewiernym żadnemu bankowi krwi
bez bogów na ostrzu języka
bez świadków poza naocznymi
między kotem a gołębiem
na jedno życie i jedną śmierć

Na końcu końców (o ile prosta nie jest nieskończona a liczb zawsze o jedną więcej)
zbawieni zostaną
ateiści kanibale i Wergiliusz
Wszystko inne (co żyje i nie żyje)
obchodzi się bez sądu
na prawach z natury nieboskich nieludzkich
przeskakując z kwiatka na kwiatek

Sebastian Brejnak

Jedyne co można powiedzieć

Jedni wierzą w formę
inni w materię
Siadając przy ognistej pneumie
pieką razem kiełbaski
uczą się wierszy na pamięć
Podobno dzięki temu żyją dłużej i bardziej

Ich więzienia mają telewizory
Ich pojemniki na krew są szczelne
Mieści się w nich wszystko czyli krew

Czasem przechylają głowy
jak psy wsłuchane w pisk
Wtedy zdarzają im się draśnięcia
wędrówki krwinek
eksport i import

Tryumfują jako twórcy traktatów o sobie
jedynie doskonałych bo pisanych ręką pełną krwi

To dużo powiedziane zbyt dużo

Sebastian Brejnak

Abstrakt

Rozmowa z etymologiem
żmudna jest i niebezpieczna
Każde słowo genetycznie obciążone
wylęknione niepewne swego
Strach cokolwiek powiedzieć
strach cokolwiek przemilczeć
bowiem wszystko ma znaczenie
skądś pochodzi ku czemuś wymownemu zmierza

Bezpieczniej pozostać przy entomologii
mikroświecie makrodoskonałym
(bez nawiasów pełnych mazgajstwa)
Liczenie odnóży chrabąszcza
jeszcze nikogo nie zgubiło

I nie zgubi

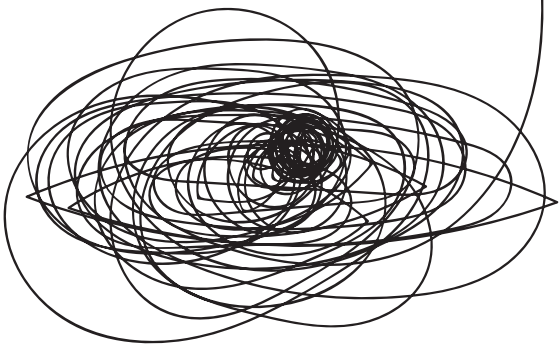

Doroła Anna Wróbel

Drogi

And what can I tell you, my brother, my killer
What can I possibly say
I guess that I miss you, I guess I forgive you
I'm glad you stood in my way
Leonard Cohen, *Famous Blue Raincoat*

o świcie mówimy sobie różne rzeczy
dzielimy się zwątpieniem i niewiedzą
jak zwykle, a jednak zupełnie inaczej

teraz znamy już siebie na wylot
w całości, a nie tak jak kiedyś – częściowo
poznaliśmy siebie najdokładniej
jak tylko człowiek może rozpoznać człowieka

jesteśmy sobie zwierciadłami
twarzą w twarz ustalamy nieskończoność
przeglądamy się w swoich odbiciach wzajemnie i widzimy
wszelkie skazy i niedoskonałości
bo nikt z nas nie jest bez winy

o świcie zapinasz plecak i mówisz
będę za kilka dni
któż mógł wtedy wiedzieć, ile potrwa wieczność

tutaj, o świcie
u kresu
nasze drogi bezpowrotnie się rozchodzą

Piątek

Kolejny Piątek utonął w lampce wina.
Jednej, trzeciej, tysięcznej.
Ma rozczochrane włosy
i patrzy na mnie dziwacznie, mówi
zobacz,
bełkocze,
pustka i nic już nie.
Nigdy.

Piątek
snuje się zimowymi ulicami miasta
zatacza zamarza umiera
szlocha.

Pałac kultury jak stał tak stoi
niewzruszony
gdy u jego stóp
upada ten ostatni, wielki.

Piątek.

Luły

w białych prochach zaklęto mi spokój
zaczarowano nam wszystkim sen lub jawę
w pigułce

słońce widuje się tu czasami
w zasadzie rzadko, niekiedy
jesteśmy zepsuci, próżni, rozpustni
piękni lub brzydcy – zależy
przesypiamy smutne wieczory samotni i źli

Wamzeh

spadająca gwiazda

z warkoczem przeplatanym
kryształkami lodu
niebiańskimi pierwiastkami
może z cząstką życia
a przecież się spala

z szybkością porównywalną
do światła
do myśli
do uczuć
a przecież nie wróci

z mocą spełniania życzeń
a przecież to wcale nie gwiazda

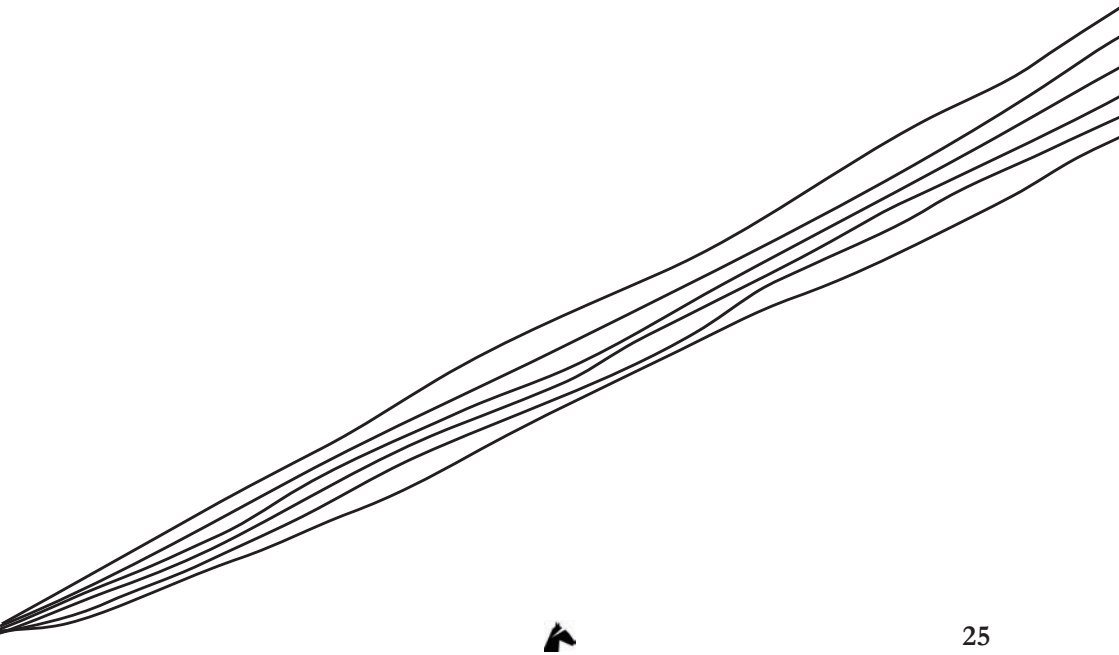

piromancja

zasadzimy wspólnie gorejące drzewo
wysokie od razu i dające schronienie
położymy się w cieple bez żadnego cienia

i będziemy pielęgnować jego płomień
zbierać i jeść owoce
a soki będą spływać soczyście
i bez posmaku zepsucia

i nie poczujemy wstydu
i nikt nas nie będzie kusił
i nikt nas nie wygna z tego raju

granica kosmosu

przed granicą kosmosu
z obawy przed niewyobrażalnym
katapultowałeś się w ciemne i puste

na granicy kosmosu
z powodu smutku po takiej stracie
unoszę się lekko nad sensem istnienia

za granicą kosmosu
z nadzieją na więcej słońc i mniej księżyców
nauczę się nowych pryncypiów przeżycia
usiądę na nie-trawie o nie-kolorze
i nie-wspomnę o tobie w próżni

Arnelia Tristereva

Spód powiek

Och, nie patrz mi w oczy spod powiek
Nie wiem gdzie uciec, gdzie odejść
Zbyt krótka to chwila na spowiedź
Zbyt smutna dla Ciebie to powieść

„Nie zniknę daleko" – odrzekłeś
Bo w szczerość Twoją zwątpiłam
Po pierwszym mrugnięciu zniknąłeś
A ja się w tej pustce zgubiłam

W tym śniegu ukryłam swe stopy
W których on wyznał mi miłość
Zbyt prędko tu przyszły roztopy
Bo zwiodła nas silna zażyłość

Wiedziałam, że kiedyś tu wrócisz
Nie patrząc na mnie spod powiek
Zamknięty w ciemności płakałeś
Bo snów już mi moich nie zwrócisz

Michał Trusewicz

róż

istnienie to
podłe mięsiste wargi którym nadajemy osobowość
charyzmę znaczenie sens
kiedy wgłębimy się w to istnienie
różowiejemy ze wstydu
że lokowaliśmy sens
w zwykłej pustce

istnienie podnieca nas jedynie z boku
z dystansu kiedy tajemniczo przyglądamy się w zaułku
święcąc latarką między nogi

a kiedy już zanurzymy się w różu
nie myślimy już o tym że istnienie wyżera naszą materię od wewnątrz

stajemy się jednym wielkim wyciorem
posuwającym się w głąb różowego istnienia
jak górnik szukający wyjścia
machamy otępiałym oskardem
waląc głową o mięsiste ściany
dziwimy się że nikt nie odpowiada

wszystko gnój
różowy gnój

kyrie

kielich swoich ust
przechylam w stronę
twojej piramidy
zastygłych spojrzeń

trzymam w dłoni
modlitwę
kielich słów bezsilnych
bezbarwnych
okrywam wargi całunem milczenia
purpurą zapomnienia
wieczna piramido
pustynna klepsydro

piaskiem swojej wieczności
obsyp moją własną pustynię codzienności
jak głowy prochem

dorzuć ziarno wieczności do pustyni mej niemocy

obsyp moją głowę cierniami
zwieńcz pustynię mego osobistego świata
swoim własnym prochem

kielich przepełniony modlitwą
wypadł mi z rąk

piramida trwa na wieki
półsenne ślepia
wydrapujące kształty gwiazd
z pergaminu kosmosu

tylko strącając gwiazdy można dosięgnąć ciebie
o nieskończoności

kalendarz

zakup kalendarza to zabójstwo teraźniejszości

obowiązek przesuwania kwadracika oznaczającego nowy dzień
obowiązek zrywania kolejnego minionego dnia

wciąż ten niesamowity lęk przed tym
że kiedyś nasz pokój będzie wiecznie żyć marcowym czwartkiem
którego nikt nie będzie już potrafił popchnąć w przyszłość

wtedy kalendarz przesuwa się w przeszłość
jak cząstka naszego martwego ciała

Felek Żołądź

Eric Garner

Trzeba krzyku, by rozpoznać siebie
Zza tabliczki w czarno-białym zdjęciu,
Gdy jeden kolor przypada na ciebie,
A drugi rzuca się na ciebie w pięciu.
Nie spojrzą w oczy, zabrania prawo:
Kto wzrok podnosi złe kusi licha!
A nuż by się jeszcze kiedyś wydało,
Że jednak słyszeli „Nie mogę oddychać!"
I sprawdzą puls, i palcem nie skiną –
To grzech przedłużać przestępcze plemię.
Przez takich jak on codziennie giną
Tysiące Marlboro i du Maurier.
Kto na „Nie strzelać!" odpowiada czystką,
Gdy już wiadomo, że kres jest blisko?

Tołal

Gdy już wiadomo, że kres jest blisko
Krew nagle w skroniach ciąży podwójnie,
Choć się wydaje, że nikt dość nisko
Upaść nie może, by skończyć w trumnie.
Przecież nie kończy się dziejów sztafeta!
Serc do niej staje zbiór nieskończony!
A że tak rzęzi, stara chabeta,
To jej próbują dosiąść miliony.
Miliony już były, miliony przeszły,
Miliony miliardom zwalniają łóżka –
Milionom w stali i w cewkach Tesli.
Milionów ton na Sybir wywózka.
Za każdym wagonem czarna chmura,
Czarnych wagonów cała wichura.

Denis Trusov

Pani chce

Pani chce akwarium z czarnym kawiorem i jajka Fabergé na śniadanie.

Pani życzy sobie szklaneczkę przedwojennego majowego warszawskiego nieba, takiego aby było wstrząśnięte, ale nie zmieszane.

Pani chce wypchanego Białoszewskiego w przedpokoju, żeby tak sobie stanął i firanki cale w marsjańskie hieroglify żeby tak sobie wisiały.

Pani chce pudelka z hemofilią i dwóch Murzynów – żeby Panią masowali

– jeden we wtorki a drugi w czwartki.

Pani chce torebkę z ludzkiej skory, sztucznej zresztą, jakby ktoś zapytał.

Świat Panią nie gryzie, lecz oblizuje, piekło Pani nie zżera, lecz delektuje się Panią przez słomkę.

Piekło umie czekać.

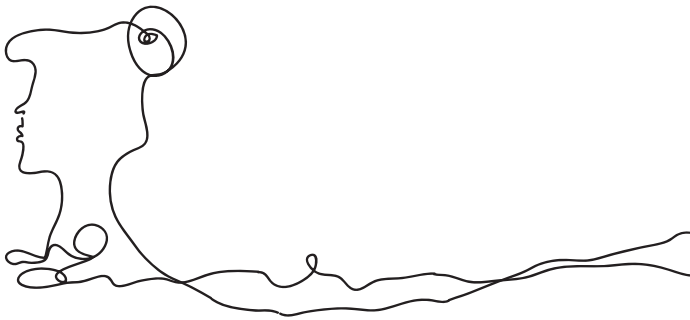

Kundalini Samołnego Narciarza

dla Georgija Iwanowa

On pamięta jeszcze rdzawe lato i piasek na zębach, i ciepła wódkę, i ogórki i to, jak ona wiła się pod nim i pachniało orzechami i komary… i kometa…

Teraz – śnieg, noc i las zupełnie nie do poznania.

Znów ta gorączka, tak chce jej i to wydaje mu się przerażające, dlatego że już nie widzi tak, jak widział wcześniej, a ją można zobaczyć tylko tak, jak on patrzył wtedy. Przyśpieszając bieg, myśli, że oni i tak byli niepotrzebnym, obojętnym medium lata.

Ta myśl prawie go uspokaja. Nie na długo. Śnieg poskrzypuje pod nartami, czernieją sosny, czerwienieje lęk w jego głowie. Waha się biały trójkąt twarzy. Wszystko jasne. Nic nie jest jasne.

W zaspach ukazują się rysy jej twarzy, kontury ciała – on chwyta garściami śnieg i je, i śmieje się w desperacji i z bezsilności. Śnieg – piekąca, pożądana, gorąca magma niespodziewanie rozpuszcza się w krtani.

Pudło, znów nie trafione. Spluwa, stojąc na czworaka, a sosny zaklinają: „Śpij, śpij, niespokojny, połóż się, tu jest miękko, zaczekaj, połóż się, s-s-s-pij!". Kosmos i przytulny budzik na szafce w jej sypialni.

Ból w skroniach i słaba nadzieja. On żegna ją w wirujące węgielne wody, źródlane głębiny, strumienne jary.

– Weź mnie za rękę, miły.

Ocknąwszy się widzi, że ściska w ręku świerkową gałązkę.

Justyna Cholewiak

Złoty komar

Ta historia oparta jest na sennych obrazach. Czy jest w niej prawda? – mógłby ktoś zapytać.

Kiedy się bliżej przyjrzeć, okaże się, że sen stanowi aż 75% sensu. Być może warto więc czasem posłuchać, co nam ma do powiedzenia.

To był lipcowy wieczór. Jeden z tych, kiedy gęstość rozgrzanego powietrza przeważa nad gęstością ciała i otacza je nierozerwalnym uściskiem swojej lepkiej obecności. W takie wieczory Rozrywacze Ciszy i Zakłócacze Spokoju przylatują na swoich skrzydełkach, aby przynieść wyjątkowo dużą ilość Brzęczenia i Swędzenia.

Już za moment misja jednego z takich Zakłócaczy miała zostać zakończona za sprawą gwałtownego złączenia się dłoni Florka, kiedy rzeczywistość postanowiła pokazać chłopcu swoje nieznane mu jeszcze oblicze.

Było to oblicze komara, który błagał o litość. Całe szczęście, że Florek nie był dorosły, bo mógłby od tego błagania wylądować w zakładzie psychiatrycznym. A jako dziecko, jedynie zdziwił się nieznacznie, i darowawszy niezwykłemu natrętowi życie, czekał na dalszy rozwój wypadków.

– Zacny chłopcze! Jam jest Złoty Komar. Zostałem tu zesłany, aby sprawdzić, czy potrafisz nie tylko słuchać, ale i słyszeć. Przeszedłeś tę próbę pomyślnie. Bardzom Ci wdzięcznym za oszczędzenie mego życia. W ramach podzięki chciałbym zaoferować Ci spełnienie jednego twojego życzenia. Możesz mnie poprosić, o co tylko zechcesz.

Sposób przemawiania Złotego Komara zrobił na Florku wielkie wrażenie. Z całej przemowy zrozumiał tylko, że może sobie zażyczyć czego tylko chce. A że bardzo chciał zrozumieć więcej, odpowiedział:

– To ja bym chciał wielką mądrość.

– Hoho! – wykrzyknął Złoty Komar – zastanów się jeszcze. Jeśli naprawdę tego chcesz, oczywiście mogę Ci pokazać drogę do mądrości. Muszę Cię jednak ostrzec, że twoje marzenie jest jak obosieczny miecz. Możesz z jego pomocą zwojować wiele, ale możesz też się bardzo zranić. Może jednak wolałbyś coś łatwiejszego? Bogactwo, powodzenie u kobiet, niewyczerpany zapas czekolady? To wszystko mogę Ci dać od zaraz.

Ale że Florek był z natury porywczy i uparty, nie w głowie mu była rezygnacja zpierwszego życzenia. Tak oto chłopiec i komar wyruszyli w drogę.

Wspinali się na bardzo wysoką górę i Florek wielokrotnie już chciał się

poddać. Wyobrażał sobie wtedy minę Złotego Komara, który wypowiadał trzy okropne słowa: „a nie mówiłem?" – i dzięki temu szedł dalej.

Kiedy wspięli się na odpowiednią wysokość, Złoty Komar uznał, że nadeszła pora podsumowania pierwszego etapu ich wyprawy. Owo podsumowanie miało formę toru przeszkód: należało pokonać go biegiem i wykonać wszystkie, nawet najdziwniejsze, ćwiczenia narzucone przez przewodnika, który wiedział, że aktywność fizyczna wspomaga zapamiętywanie. Florek jednak nie tylko ćwiczył swoje ciało, lecz także umysł. Jego zadaniem było stworzenie definicji mijanych słów (tak, właśnie słów). Jednak już pierwsze napotkane słowo, którym było drzewo nastręczyło mu problemów. Chłopiec uznał, że żadna definicja nie może odda w pełni drzewowatości drzewa, a skoro opisuje tylko ułamek naszej wiedzy o nich, to do niczego się nie nadaje. Pomyślał, że taka jest ludzka wiedza. To było pierwsze ukłucie miecza.

Mimo bólu Florek nie poddawał się. Uparcie podążał za Złotym Komarem. A powietrze robiło się coraz gęstsze i gęstsze. Zbliżały się kolejne ćwiczenia – poświęcone metaforze. Zadaniem Florka było rozpędzenie się na bieżni i wskoczenie do bezdennej studni, odbicie się od wypełniającej ją nicości i wyskoczenie na powierzchnię. Kluczowym dla zdobycia wiedzy było jednak opisanie wrażeń towarzyszących wykonywaniu tego zadania. Chłopak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Jedynym efektem podjęcia próby opisu było rozruszanie się jednego z zębów Florka. Górna jedynka. Już niczego nie był pewien. Ten ząb wydawał się metaforą jego położenia – nigdy nie mógł znaleźć stabilnego gruntu ani schronienia. Po cichu zaczynał przyznawać rację Złotemu Komarowi i jego ostrzeżeniu…

Myślał jednak, że skoro zaszedł już tak daleko, nie mógł się teraz tak po prostu wycofać. Dlatego mimo zwątpienia podążał za swoim przewodnikiem. Ten zaś na następny postój zarządził w niezwykłym miejscu. Był to budynek gromadzący wszystkie niepotrzebne ludziom książki, a z których każdy człowiek mógł sobie coś wybrać. To był ogromny teren! Ktoś nawet o to dbał – podzielił książki na kategorie i układał je alfabetycznie.

Obok budynku mieściła się giełda staroci – Florek znalazł tam przecudownego smoka trzymającego się parasolki. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widział, i jak się okazało, bardzo cenna, gdyż została wykonana z bardzo rzadkiego materiału. Zbierano go od początku istnienia świata, a zgromadzona ilość wystarczyła jedynie na wykonanie figurki, która mieściła się w dłoniach chłopca. Było to dokładnie tyle, ile brakowało jego szczęściu – bo była w nim dziura i deszcz padał do środka. Niestety chłopca nie było stać na smoka, a kiedy zaczął się targować, proponowana przez sprzedawcę cena była za każdym razem odrobinę większa, niż Florek mógł zapłacić. Wtedy zrozumiał, że smoka nie można kupić. Chociaż jest jego,

nie może go mieć. Tłumaczył to sobie tak, że najwyraźniej w szczęściu muszą być dziury, żeby było w nim miejsce dla innych.

Byli już prawie na szczycie. Powietrze było już tak gęste, że można byłoby je ciąć, jednak nawet nóż z doskonałej stali stępiłby się pod jego wpływem. Złoty Komar znowu kazał Florkowi biegać. Tym razem jednak nie po zboczu góry, ale po orbicie zanurzonej w oceanie planety w kształcie mózgu. Mózg ów wypuszczał macki, które smagały całe ciało Florka i które w ten sposób próbowały zatrzymać chłopaka. Ten jednak biegł i biegł, i nie mógł przestać. Biegł do czasu, gdy potknął się o własne włosy (podróż ze Złotym Komarem trwała bardzo długo i teraz włosy Florka sięgały prawie do ziemi), a z nich wypadła książka. Podniósł ją. Na okładce widniał tytuł, *Cierpienie*, a w środku zobaczył tekst zapisany… łzami.

Po chwili konsternacji odwrócił książkę, a tam… tam było wszystko to samo, tylko na odwrót – okazało się, że ta książka jest wielkim palimpsestem. Wystarczyło ją odwrócić i spojrzeć na kartki pod słońce, aby okazało się, że tekst pisany łzami tak naprawdę był o szczęściu, które tylko schowało się w cieniu.

Zupełnie jak w tej opowieści.

Jorg

List do M.

Kiepsko wyglądasz, Ulrike. Baader miał rację, nic nie potrafisz zrobić dobrze. Nawet wyglądać. Chcesz być idolką przestraszonych dziewczynek? Rewolucjonistki tak nie wyglądają. Jak patrzę na ciebie, to mi się wszystkiego odechciewa.

Mądrze mówiłaś w telewizji. Ale czego się boisz, Ulrike? Gdybyś się nie bała, to skąd ten rozbiegany, zlękniony wzrok? Zawsze tak patrzysz. Przecież jeszcze nie jesteś ścigana, jeszcze nie wiesz nawet, że zostaniesz terrorystką…

Przeraża cię rzeczywistość? Wojna w Wietnamie, byli naziści na ciepłych stanowiskach w RFN? Możesz pisać o czymś mniej strasznym. Czy w latach 60. brakowało celebrytów? Jesteś masochistką, Ulrike?

A może boisz się, że nikogo to nie obchodzi? Widzisz, jak się w tym zatracasz? Im bardziej chcesz naprawić świat, tym bardziej nienawidzisz tego istniejącego. Tym bardziej staje się obcy. I tym bardziej ty jesteś w nim obca. A im bardziej jesteś obca, tym mniej masz siły i szans, żeby go naprawić. Błędne koło, Ulrike. Wiesz, kiedy w nie wpadłaś? Wtedy właśnie przegrałaś.

Tak, wtedy. Wcale nie w chwili, gdy padł pierwszy trup, a ty uciekłaś. Zaraz zresztą do tego wrócimy. Ale przegrałaś, kiedy twoja niezgoda na rzeczywistość urosła tak, że pozwoliła bezsilności przeważyć twoją siłę.

Im bardziej chciałaś naprawić świat, tym więcej byłaś w stanie poświęcić. Co czułaś, Ulrike, kiedy kula po raz pierwszy raniła człowieka? Co czułaś, do cholery, zostawiając swoje dzieci tym szaleńcom? Podobno krzyczałaś „Nie strzelajcie!". Kiedy ten człowiek leżał ranny, mogłaś się jeszcze wycofać. Mogłaś tam zostać i udawać, że wcale nie zorganizowałaś akcji uwolnienia ludzi, którzy podłożyli bomby w domach handlowych we Frankfurcie. Uciekłaś przez okno, ale nie od tej zbrodni. Uciekłaś właśnie w zbrodnie. Bałaś się na pewno. Podobno Gudrun pchnęła cię za ramię w kierunku okna. Bałaś się jej prawie tak jak Baadera. Bardziej niż państwa, z którym walczyłaś.

Tak, Ulrike, przyznaj to. Gdybyś się bała tego, jak to mawiałaś, faszystowskiego państwa, to nie napadłabyś na bank (akurat twoja grupa zrabowała najmniej, a Baader krzyczał, że nic nie potrafisz zrobić dobrze), nie uciekałabyś przed patrolem, nie nazwałabyś sędziego „faszystowską

świnią". Gdybyś nie bała się Baadera i Gudrun, to nie pozwoliłabyś im sobą pomiatać i siebie wykorzystywać, nie wypełniałabyś tak skrupulatnie ich poleceń. Jak czułaś się w ich towarzystwie? Dziennikarka, intelektualistka wśród kryminalistów. Baader wciąż wypominał ci „drobnomieszczańskie" nawyki. Dlaczego nie wygarnęłaś mu, co o nim myślisz, z takim zapałem, z jakim rozprawiałaś o faszystowskim państwie, amerykańskim imperializmie i wyzysku Trzeciego Świata? Co cię najbardziej przerażało, Ulrike? To, z czym walczyłaś, czy to, do czego lgnęłaś? Czy byłaś masochistką?

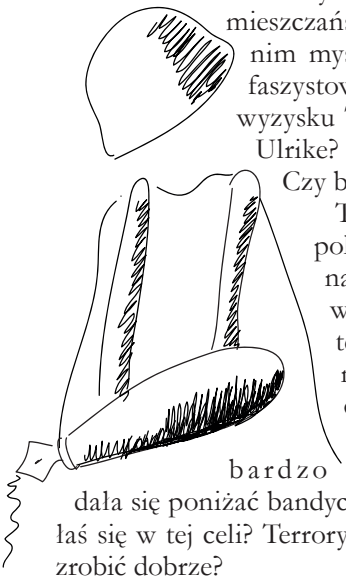

To prawda, państwo pierwsze zabiło. Kiedy policyjna kula dosięgła studenta na demonstracji, napisałaś słynny tekst zakończony słowami „Zabawa się skończyła". Potem było okno. Ale napisałaś też „Protest jest wtedy, gdy mówię, że dłużej tego nie zniosę. Opór jest wtedy, gdy kończę z tym, czego znieść nie mogę". Czego bardziej nie mogłaś znieść, Ulrike? Rzeczywistości, która tak bardzo odbiegała od twojej wizji, czy dziennikarki, która dała się poniżać bandycie i wyrzekła się własnych dzieci? Dlaczego zabiłaś się w tej celi? Terroryści tak nie giną. Naprawdę, niczego nie umiałaś zrobić dobrze?

Co byś powiedziała 34 ofiarom Frakcji Czerwonej Armii, czy jak was nazywał znienawidzony „Bild" – grupy Baader-Meinhof? Że nienawidzisz ich tak bardzo, jak bardzo kochasz świat? Dobry świat? Nie będzie takiego świata, Ulrike. Ruszyłaś z motyką na słońce, a mogłaś zająć się ziemią, siać i zbierać plony. Tak dobrze pisałaś. To naprawdę umiałaś robić dobrze.

I co narobiłaś? Wrogowie nie mogą cię nienawidzić tak, jak by chcieli, a ci, co popierają RAF, nie mogą podziwiać cię tak, jak by chcieli. Nie byłaś zimnokrwistą terrorystką. Byłaś, Ulrike, bardzo kiepską terrorystką.

Ktoś mógłby myśleć, że żeby rzucić posadę dziennikarki i zostać bojowniczką, potrzeba bardzo dużo odwagi. Ty pokazałaś, że tak naprawdę potrzeba bardzo dużo strachu. Może po to to wszystko było? Ku przestrodze? Że wszystko ma swoje granice. Pragnienie lepszego świata też ma swoją granicę. Za nią czai się bezsilność. Bezsilność, która zabija.

Zrozumiałaś to dopiero w więzieniu. Podobno powiedziałaś tam do policjanta: „Obawiam się, że podobnie jak ja umrze pan, zanim spełnią się pana najskrytsze ambicje i cele. Być może prawdziwą cnotą jest przygotować się właśnie na to, a nie na zdobycie tego, co chciałoby się osiągnąć". Byłaś przygotowana, kiedy powiesiłaś się w celi na paskach porwanego

ręcznika? Chyba tak, sama wybrałaś ten moment – 9 maja 1976. Więc jednak wygrałaś? (Być może) prawdziwą cnotę? Albo w końcu przegrałaś – pokonały cię twoje ambicje i cele… Może jednak nie byłaś gotowa, ale nie mogłaś już dłużej (… opór jest wtedy, gdy kończę z tym, czego znieść nie mogę…)? Tak było?

Im bardziej kochasz to, czego mieć nie możesz, tym bardziej nienawidzisz tego, co masz. To chcesz mi powiedzieć, Ulrike?

Sebastian Marks

Bądź wolny

Telefon zadzwonił koło trzynastej. Tosia wieszała właśnie pranie, stojąc na chwiejącym się stołku.

„Kogo cholera niesie" – zaklęła pod nosem i wyskoczyła z łazienki.

– Halo – powiedziała, nadstawiając ucha.

– Pani Antonina Biłgorajowa?

– Teraz już Tokaj.

– Słucham?

– Teraz już Tokaj. Biłgoraj to moje panieńskie.

– Czy pani ojciec nazywa się Konstanty?

– Tak, ale nie widziałam go od bardzo dawna. Matka od niego odeszła…

– Pani ojciec jest w Uleczalni.

– No i co z nim?

– Ma poważny uraz mózgu.

– Tak?

– Jego leczenie niedługo dobiegnie końca, ale nie dotarliśmy do żadnego członka rodziny. Dopiero do pani.

– Nie ma do kogo dzwonić. Jestem jedynaczką, co chyba jasne, a matka umarła jakiś czas temu. Ojciec, z tego, co wiem, też nie ma żadnej żyjącej rodziny.

– Co pani zamierza?

– W związku z czym?

– Pani ojciec będzie do odebrania pojutrze.

– Ale ja go nie chcę.

– Jako jedyny żyjący członek rodziny ma pani obowiązek odebrać ojca z Uleczalni.

– A jeśli go nie odbiorę?

– Wtedy przyjedzie do pani w towarzystwie straży przybocznej.

– A z jakiej racji?

– Przypominam, że u nas w królestwie rodzina darzona jest szczególną czcią, a utrzymywanie więzi pomiędzy jej członkami…

– A idź w diabły z tym cholernym prawem. Mój ojciec jest dorosły. Sam o siebie zadba.

– Nie byłbym taki pewien.

– Nie rozumiem?

– Pani ojciec jest, że tak powiem, nie w pełni dysponowany.

– Wciąż nie rozumiem.

– Może inaczej – pani ojciec wymaga teraz stałej opieki. Dopływ tlenu do jego mózgu został wstrzymany naponad pięć minut.

– Czyli co? Jest teraz rośliną? Chcecie mi go wcisnąć, bo wam zasrał za dużo prześcieradeł?

Myślicie, że ja nie mam swoich zmartwień?

– Jeszcze jedno słowo, a twój ordynarny pysk wpadnie do koszyka razem z głową! Nie po to dzwonię osobiście, ty wiejska kurwo,żeby wysłuchiwać twoich pretensji!

Antonina przymrużyła oczy, jakby ktoś zamachnął się na nią kijem. Przedobrzyła. Nie powinna była dyskutować.

– Dobrze, już dobrze. O której będzie można go zabrać? – spytała dobrotliwie.

– I nie można było tak od razu? O dwunastej, droga pani. Do zobaczenia.

– Do widzenia – odparła i odłożyła słuchawkę na widełki.

Antonina nie pamiętała nawet twarzy swojego ojca. Kilkanaście lat temu udało jej się całkowicie wyprzeć jego istnienie ze świadomości. Nie było ciężko. Konstanty wcale nie zabiegał o uwagę córki. Był dla niej zjawą z poprzedniego życia. Czasami tylko spotykali się w koszmarach. Miał czarne krążki zamiast oczu i skórę pokrytą łuskami. Chciał ją dopaść, ale nigdy mu się to nie udało.

Mąż Antoniny miał na imię Anastazy. Był wysoki, barczysty i brodaty. Jego wydatna szczęka pokryta ciemnym zarostem i przysłonięte wąsami usta rozciągały się od czasu do czasu w pięknym uśmiechu.

Antonina mówiła najwolniej, jak umiała. W ten sposób przekonywała samą siebie, że jest spokojna, że wcale się nie denerwuje. Anastazy słuchał w milczeniu. Co jakiś czas kiwał głową ze zrozumieniem.

– Trudno – odezwał się w końcu – jeśli będzie trzeba, to się nim zajmiemy.

– Ty nie rozumiesz – ja nie będę mogła usnąć, jak ten diabeł będzie w pobliżu.

– Przesadzasz. Przecież sama powiedziałaś, że jest rośliną.

– Gdy sobie pomyślę, że on tu będzie, zaczynam się trząść. Zobacz, jak drżę – Antonina wysunęła rękę przed oczy Anastazego. – Patrz.

Dłoń Antoniny naprawdę drżała. To zrobiło na Anastazym wrażenie. Żona nie należała do tych porcelanowych księżniczek, które nie potrafią funkcjonować samodzielnie. Antonina była kobietą na schwał – silną i zaradną. Praca w polu nauczyła ją wytrwałości i zahartowała ciało. Niełatwo było ją wyprowadzić z równowagi.

Mały Xawery wrócił właśnie z Oświatówki. Całe szczęście, że Oświa-

towid kilka lat temu wydał dekret, który objął obowiązkiem powszechnej edukacji dzieci od szóstego roku życia. Dzięki temu każde z nich mogło dużo wcześniej utwierdzić się w pewności, że nasz Pan jest dobry i sprawiedliwy, a także dowiedzieć się, że Oświatowid jest ojcem wszystkich poddanych i pochodzi z gwiazd, tak samo jak wszyscy jego poprzednicy, od Oświatowida Wielkiego począwszy.

– Ojcze, matko – ukłonił się każdemu z osobna.

– Na kuchni masz podpłomyki. Weź sobie jeszcze smalcu z parapetu, jest w misce.

Xawery ukłonił się po raz drugi i przeszedł do przyległej izby.

Kolejny dzień minął tak szybko, że Antonina nie zdążyła się nawet psychicznie przygotować na wizytę w Uleczalni. Gdy jechała wraz z synem i mężem zdezelowanym autem ciągniętym przez dwa krępe konie, starała się przywołać wspomnienia dzieciństwa, ale jedyne, co widziała, to krwawe pręgi na matczynych plecach i trzask jej pękającej skóry.

Uleczalnia znajdowała się w ogromnym murowanym budynku stanowiącym relikt poprzedniej, ciemnej ery.

Jeszcze kilkanaście lat temu ludzie umierali z byle powodu. Ciała spływały rzekami niczym spuchnięte gałęzie, a potem jak one użyźniały ziemię. Czasem ze zwłok układano nieszczelna wały przeciwpowodziowe. Świat jednak poszedł naprzód. Co do tego nie ma wątpliwości.

– Przyszłam po Konstantego Biłgoraja – rzekła do rudego mężczyzny siedzącego za ladą.

– Taaaaak, – powiedział przeglądając papiery. – Oczekują pani w pokoju omikron.

Antonina spojrzała na męża. Z jego pustego spojrzenia wypływała dezorientacja.

– Kto oczekuje? – spytał.

– Nie wydaje mi się, żebym mówił do ciebie – warknął recepcjonista.

Antonina zostawiła męża i syna w poczekalni, sama zaś ruszyła korytarzem.

Alfa, beta, gamma, delta – mijała pokoje.

Jej ojciec należy do noblinów – warstwy wysoko urodzonych, co pewnie jest powodem nakazu zajęcia się nim. Noblini mają w sobie przecież iskrę Oświatowida. Antonina też była kiedyś noblinką, ale przez dwie przewiny obniżono jej pozycję w hierarchii społecznej. Pierwszą była ucieczka wraz z matką z domu ojca. Drugą – wyjście za mąż za człowieka niskiej czci, czyli drakina.

W pokoju było widno – sztuczne światło sączyło się ze szczelin pod sufitem. Antonina spojrzała na dwóch mężczyzn siedzących przy długim,

wąskim stole pomalowanym na niebiesko.

– Niech siada – rzekł jeden z nich, wskazawszy krzesło naprzeciwko biurka.

Antonina usiadła posłusznie. Starała się nie patrzeć im w oczy, by wyglądać skromnie i służalczo.

– Czy wie, że opieka nawet nad dalekim krewnym jest obowiązkiem każdego obywatela Zembli? Cieszymy się z wysokiego ucywilizowania naszych poddanych i dokładamy wszelkich starań, by wszystko szło w dobrym kierunku. Czy rozumie?

Antonina milcząco kiwnęła głową.

– A czy wie, że bluźnierstwa pod adresem noblinów są karalne? Wszystko zapisane jest w Księdze Praw i Obyczajów. Może chce, żebym przeczytał odpowiedni ustęp?

Antonina nie odpowiedziała, uporczywie wpatrując się w nieokreślony punkt drewnianej posadzki.

– Czy ona ma język?

– Tak, rozumiem – odparła, drżąc.

– Upomnienie wystarczy, czy trzeba będzie wytłumaczyć inaczej?

– Wy… wystarczy.

– Co powiedziała?

– Że wystarczy.

– Wobec tego niech poda kartę.

Antonina wyciągnęła z torebki elektroniczny identyfikator i ostrożnie podała jednemu z mężczyzn. Zaczął obracać go w dłoni. Czerwony kolor identyfikatora wywołał w nim zniesmaczenie. Tak, jakby samo dotykanie go mogło odebrać mu iskrę Oświatowida.

Jeden z mężczyzn wsunął go w otwór gdzieś pod blatem stołu. Jej uszu dobiegła seria głośnych piknięć i skrzypnięć. Potem beznamiętny metaliczny głos powiedział:

„Antonina Tokaj-Biłgoraj. Własność Zembli. Drakin. Brak kartoteki. Brak zaległych podatków. Liczba potomstwa uregulowana".

Antonina wykrzywiła usta. Ona nie uregulowała liczby potomstwa. Nie mogłaby. Anastazy utopił ponadprogramową córkę w misce. Przez następne miesiące nie odezwał się ani słowem. Całował ją tylko na powitanie, a jego pocałunki wypalały jej dziury w policzkach. Wiedziała, że w innych okolicznościach nigdy by tego nie zrobił, ale dziura w ich sercach nigdy do końca się nie zasklepiła.

Mężczyzna siedzący po prawej podniósł się i odsłonił białą kotarę.

Tuż za nią znajdowało się białe metalowe łóżko, a na nim dziwacznie powykrzywiany twór, który tylko przypominał człowieka.

– Panie Konstanty – ton mężczyzny zmienił się – teraz był miły i przepraszający. – Panie Konstanty, proszę podać mi rękę.

Antonina nie od razu rozpoznała ojca. Tamten, który zagnieździł się w jej podświadomości, był czystym złem. Ogromnym potworem z batem zaczepionym za pasek z twardej brązowej skóry. A to? To była kpina z jej lęków. Chimeryczny twór, który wyglądał, jakby za chwilę miał się rozsypać. Aż dziw, że mógł utrzymać się na nogach. Jego głowa w połowie została pozbawiona włosów, a wygolone miejsce szpeciła gruba różowa blizna w kształcie podkowy.

– Zapisz, że Konstanty Biłgoraj został wydany o dwunastej dwadzieścia trzy – zwrócił się do drugiego mężczyzny.

– Niech chwyci go pod rękę i mocno trzyma. Pan Konstanty jest jeszcze słaby, ale z czasem odzyska siłę.

– Czy mogę już iść? – spytała chwytając ojca pod rękę.

– Niech idzie. Zdrowia panie Konstanty.

Poruszała się powoli, tak, by Konstanty mógł nadążyć. Czuła kruchość jego watowatego ramienia. Prawdopodobnie mocniejsze szarpnięcie wyrwałoby mu rękę ze stawów. Antonina odczuwała jednak obezwładniający strach. Bała się choćby spojrzeć w jego stronę.

Anastazy poderwał się z krzesła.

– Daj, pomogę ci – rzekł, łapiąc Konstantego pod rękę.

Po kilku długich i mozolnych minutach znaleźli się w pojeździe.

Xawery długo przyglądał się dziwnemu stworkowi siedzącemu obok niego na tylnym siedzeniu.

– Mamo, czy to jakieś zwierzę? – spytał.

Antonina rzuciła mężowi przelotne spojrzenie.

– Tak, synu, uleczacze poprosili nas, byśmy wypuścili je na wolność.

– Gdzie?

– W lesie. Tam gdzie jego naturalne środowisko – dodała Antonina.

Anastazy pociągnął gwałtownie za lejce przeciągnięte przez dziurę po przedniej szybie auta. Konie prychnęły z wyrzutem.

– Chyba nie zamierzasz…

– Miejsce zwierząt jest w lesie. Wyrządzilibyśmy mu wielką krzywdę trzymając go w zamknięciu – powiedziała stanowczo.

Konstanty siedział spokojnie wpatrzony w zagłówek kierowcy. Jego zdeformowana głowa była lekko przekrzywiona, a z kącika ust ściekała błyszcząca strużka śliny.

– Hej, słyszysz mnie? – Xawery pstryknął palcami. – Jak on się wabi?

– Nie ma imienia.

– A mogę go nazwać?

– Nie. To nie jest nasze zwierzątko. Mamy je tylko wypuścić na wolność – odparła.

Xawery był niepocieszony.

Anastazy rozumiał żonę bez słów i bezgranicznie ufał jej osądom. Jeśli postanowiła porzucić ojca w lesie, nie zamierzał stawać jej na drodze. Tym bardziej, że nie opływali w dostatki, a Konstanty zdawał się być zawieszonym w próżni golemem.

Niewiele myśląc, popędzał konie na leśną drogę odchodzącą od szosy.

Antonina zamknęła oczy i wciągnęła powietrze do płuc. Zobaczyła Konstantego, który wparowuje do domu. Z jego dłoni zwisa bicz. „Gdzie jesteś, ty kurwo?" – krzyczy.

Matka Antoniny, Ludmiła, kładzie się na brzuchu i z głową ukrytą w ramionach piszczy: „Nie bij, nie bij".

– Będziesz? – pyta Konstanty

– Nie będę – odpiskuje Ludmiła.

– A czego nie będziesz? – uśmiecha się.

– Niczego nie będę – piszczy Ludmiła.

– Niczego nie będziesz? – Trzask bata, a później przewlekły, pełen bólu krzyk. – Nie drzyj mordy! – Znów trzask i krzyk. – Nie drzyj mordy, mówię.

Mała Antonina czuje wibracje podłogi. Przez to wie, że mama drży.

– Przestań! – krzyczy mała Antonina. – Nie bij mamusi!

– Milcz bękarcie – warczy Konstanty i sprzedaje jej soczystego kopniaka. Mała Antonina nie wie, co to znaczy „bękart", ale nagły ból brzucha zniechęcił ją do zadawania pytań.

Antonina otworzyła oczy i odwróciła się. Konstanty wciąż spoglądał w jeden punkt, ale nie była pewna, czy widzi cokolwiek. Zrozumiała natomiast, że jej ojciec od zawsze był zwierzęciem, tylko ona tego nie dostrzegała. Zmyliła ją jego powierzchowność.

Las się zagęszczał, a droga powoli dobiegała końca.

Kobieta wysiadła z auta i rozejrzała się. Najbliższa ulica znajdowała się kilka kilometrów za nimi, a wokół nie było żywej duszy.

Anastazy otworzył tylne drzwi i wyciągnął Konstantego z auta. Nie opierał się.

– Puść go – powiedziała Antonina, ale Anastazy najwyraźniej jej nie zrozumiał. – Puść go, mówię! – powtórzyła z większą zaciekłością.

Anastazy puścił kościstą dłoń jej ojca, a ten runął twarzą na leśną ściółkę.

– Mamo, on się chyba przewrócił. Może trzeba go jeszcze trochę podleczyć? – zaszczebiotał Xawery.

– Nie synku, on tylko obwąchuje teren.

Konstanty się nie ruszał. Od paru minut leżał bez ruchu z rękami przy-

legającymi do tułowia.

– Idziemy? – spytał Anastazy

– Poczekaj jeszcze chwilę – powstrzymała go Antonina.

Podeszła do ojca i złapała za owłosioną stronę głowy.

Konstanty pustym wzrokiem patrzył przed siebie. Tam, gdzie do niedawna lśniła strużka śliny, teraz wykwitł szpetny ziemisty zaciek.

Z początku nic się nie działo, ale z czasem Konstanty zaczął miarowo pociągać nosem.

– Mamo, on chyba węszy – powiedział uradowany Xawery.

– Oczywiście. Musimy tylko dać mu chwilę, żeby otrząsnął się z szoku.

Konstanty poderwał nagle łeb i zawiesił wzrok na jakimś odległym punkcie.

Antonina spojrzała w tym samym kierunku. Jej oczom ukazało się małe stadko takich samych jak on, człekokształtnych istot.

– Uciekaj – powiedziała Antonina – bądź wolny.

Konstanty poderwał się raptownie i na czworaka pobiegł w stronę swoich pobratymców. Z początku obwąchiwali się wzajemnie, jak gdyby w poszukiwaniu porozumienia. Po chwili jedna z suk polizała go po pysku, a zaraz potem całe stado zniknęło za kurtyną z zachodzących na siebie drzew. To był piękny widok. Natura w pełnej krasie.

Cała trójka Tokajów odprowadziła go wzrokiem

– Widziałeś, ile ich tam było? – zwróciła się do chłopca.

– Tak – odparł z uśmiechem Xawery – z nimi będzie mu dobrze.

Krzysztof Rutkowski

Most Marii (Pont Marie)

I

Biała Dama stawała każdego popołudnia na przęśle Mostu Marii (*Pont Marie*) okraczającym trasę szybkiego ruchu nad Sekwaną. Biała Dama kładła lewą dłoń na kamiennej balustradzie, a prawą unosiła i pozdrawiała przejeżdżające po trasie pojazdy. Prawa dłoń Białej Damy błogosławiła samochody oraz motocykle mknące na południe lub beznadziejnie trujące powietrze w zakorkowanym bezruchu. Prawą dłoń Białej Damy osłaniała od spalin i wiatru biała rękawiczka z dzianiny.

Biała Dama zjawiała się na Moście Marii punktualnie. Po odprawieniu obrzędu swój posterunek opuszczała, by zniknąć w wąskich uliczkach dzielnicy Bagno.

II

Krzysztof Maria, nazywał się właśnie tak: Christophe Marie i był budowniczym mostów. Domów i mostów. Przebijał też ulice. Krzysztof Maria wierzył w moc rozumu, dlatego studiował magię oraz ruchy gwiazd.

Ciężko szło z tym mostem, bardzo ciężko. Most Świętego Ludwika połączył już Wyspę Miejską z wyspą noszącą królewskie imię. Most Wieżyczkowy spinał od lat kilku Lewy Brzeg z Wyspą. Krzysztof Maria uznał za potrzebne i dobre, by kolejny most, na osi Mostu Wieżyczkowego, połączył Wyspę z Prawym Brzegiem.

Budowniczy Krzysztof Maria zabiegał o pozwoleństwo i pieniądze na budowę mostu od roku 1605. Wizyty składał u królewskiego namiestnika okręgu *Le Marais*, przekonywał starostwo oraz rajców miejskich. Rajców i królewskiego namiestnika Krzysztof Maria przekonywać długo nie musiał, bowiem byli do budowy mostu od dawna przekonani.

Dlaczego tak się stało, że zabiegi Krzysztofa Marii trwały lat dziewięć? Dlaczego tak się stało, że pierwszy kamień pod przęsło położył król Ludwik XIII osobiście, otoczony ministrami, damami i kawalerami, dworzanami i kardynałami? Dlaczego zabrzmiały tego dnia trąby jak w Dzień Sądu lub na królewskie gody i dlaczego monarcha nakazał tańce w Maskach wokół pierwszego kamienia z mostowego przęsła i sam nawet ruszył w tany w kostiumie i w Masce, którą jedynie On miał prawo założyć, w Masce słonecznego Boga?

Dlaczego tak się stało, że budowa mostu wlokła się dwadzieścia jeden lat i dopiero w 1635 roku połączył on Wyspę Świętego Ludwika z Prawym Brzegiem rzeki, która z niejasnych powodów zwie się Włókiem rybackim, to znaczy Sekwaną? Most nazwano Mostem Marii, Krzysztofa Marii. Stanęło na nim pięćdziesiąt trzypiętrowych domów. Środkiem mostu biegł trakt ułożony z dębowych desek.

III

Do budowy mostu przez Krzysztofa Marię nie chciał dopuścić kanonik z Notre-Dame. Pomysł budowy mostu popierał, to jasne, bo nikt przecież słuszności połączenia mostami w linii prostej obu brzegów rzeki Włók z Wyspą Świętego Ludwika podważać nie był w stanie. Nie most się kanonikowi z Notre-Dame nie podobał, ale Krzysztof Maria, jego budowniczy.

Kanonik z Notre-Dame słyszał od osób czcigodnych i dobrze poinformowanych, od cnych dam, małżonek i matek pozostających poza wszelkim podejrzeniem, że Krzysztof Maria oddaje się czynnościom grzesznym i szkodliwym, które tego nieszczęśnika prosto do piekła zaprowadzić mogą.

Kanonik z Notre-Dame dowiedział się od cnych dam (pozostających poza wszelkim podejrzeniem), że budowniczy Krzysztof Maria po nocach pali w dziwacznym piecu, miesza jakieś płyny, kręci i ubija w moździerzach woniejące ingrediencje niewiadomego pochodzenia, miesza płyny z proszkiem w miksturę i… naciera melasą drewnianą lalkę o kobiecych kształtach.

Cne damy (pozostające poza wszelkim podejrzeniem) wiedziały o tajemnych działaniach Krzysztofa Marii od służącej i praczki, która zachodziła do jego kwatery, w bocznej baszcie starego Pałacu Zmysłów, (*Hôtel de Sens*) kupionego w trzynastym stuleciu przez siostry benedyktynki z Yerres.

Kanonik z Notre-Dame przysiągł, że nie dopuści, by budowniczy Krzysztof Maria stawiał most tak blisko arcykatedry paryskiej, bo na kościół i całą Wyspę ściągnąłby grozę i nieszczęścia.

Kanonik dzielnie stawał do walki ze złem wiszącym nad Wyspą Świętego Ludwika. Stawał lat dziewięć najpierw, a potem lat dwadzieścia jeden. W sumie lat trzydzieści. Nawet taniec Ludwika XIII w słonecznej Masce wokół kamienia pierwszego przęsła nie zachwiał w nim wiary. Śmierć zabrała w końcu kanonika z Notre-Dame; odszedł niespokojny, bo w dniu śmierci jego wody rzeki Włók zmętniały. Następca, choć uprzedzony, niebezpieczeństwo zlekceważył.

IV

Kiedy słońce kryło się za wieżami paryskiej arcykatedry, budowniczy Krzysztof Maria wynosił z baszty Pałacu Zmysłów owiniętą w całun

lalkę o kobiecych kształtach i stawiał ją obok kamienia pierwszego przęsła mostu. Lewą dłoń lalki o ruchomych przegubach opierał na własnym kolanie, prawą rękę lalki unosił do góry i poruszał nią w geście pozdrowienia lub błogosławieństwa, zawsze wyciągając lalczynną dłoń ku wieży dzwonniczej kościoła Świętego Jakuba od Rzeźników. Budowniczy Krzysztof Maria śpiewał też cicho kantyczki, mamrotał dziwaczne inkantacje w języku trudno zrozumiałym, chyba wschodnim, może w ladino.

Ludek kwartału Bagno przyglądał się budowniczemu i jego lalce, nie dziwiąc się nadmiernie widowisku, bo ludek kwartału Bagno niejedno już w kwartale widział i przywykł do oglądania scen niezwykłych. Rozrywanie końmi skazańców lub łamanie ich członków na placu przed archikaderą paryską budziło w ludku większe emocje, niż lalka budowniczego.

V

O Krzysztofie Marii, budowniczym mostów, krążyły po Paryżu plotki niesłychane. Kanonik z Notre-Dame słyszał od kawalerów i kupców z kwartału Bagno, że Krzysztof Maria przyjmuje chorych na płuca lub sam ich odwiedza, każe cierpiącym na tuberkulozę spółkować z kaczką, a podczas stosunku użynać jej łeb. Na rzeżączkę zalecał podobno budowniczy mostów stosunek z kurą, na skrofuły – z krową. Pewien markiz mieszkający w Pałacu Ambasadorów Holenderskich przy ulicy Starej Świątyni twierdził, że Krzysztof Maria zalecał mu stosunek z samicą węża, by zdobyć znajomość wszystkich języków i zrozumieć mowę zwierząt. Markiz twierdził ponadto, że Krzysztof Maria czytywał Theophrastusa Bombastusa von Hohenheima zwanego Paracelsusem i mieszał preparaty rtęciowe skutecznie łagodzące skutki choroby kardynalskiej, czyli syfilisu. Kanonik z Notre-Dame markizowi zanadto nie ufał, ponieważ markiz słynął z rozwiązłego trybu życia oraz z wyobraźni stanowczo wybujałej, jednak jego słowa wbiły mu się w serce i w nadnercza, przyśpieszając zgon.

VI

Krzysztof Maria budował mosty, uprawiał magię, czytał Arystotelesa, Plotyna, Filona z Aleksandrii, Jamblichosa, Proklosa, Dionizego Pseudo-Aeropagitę, Ficina. Paracelsusa też czytał, bo budowniczy Krzysztof Maria czytał bardzo wiele i kupował książki na straganach przy Cmentarzu Niewiniątek. Budowniczy Krzysztof Maria czytał i pisał po nocach, przy oliwnej lampie, zamknięty na trzy spusty w bocznej baszcie Pałacu Zmysłów.

Tak, budowniczy Krzysztof Maria uważał się za maga, czyli za osobę, zlewającą w jedno ognisko wiedzę i działanie. Budowniczy Krzysztof Maria pamiętał, że wielu duchownych łączy magię z demonami i z Diabłem, bo

nie znają Arystotelesa.

A przecież trzy są rodzaje magii: boska, naturalna i matematyczna. Pierwsze dwa rodzaje magii w oczywisty sposób należą do rzeczy dobrych i doskonałych. Trzeci rodzaj magii jest albo dobry, albo zły, w zależności od intencji maga. Jeśli mag pobłądzi, zagubi się lub w złym celu trzeciego rodzaju magii użyje, to działania jego prowadzić mogą do zbrodni lub bałwochwalstwa, przeto budowniczy Krzysztof Maria postępował ostrożnie i ważył w sumieniu każdy krok i każdą podejmowaną czynność.

Magię matematyczną pojmował jako powinowactwa zachodzące pomiędzy arytmetyką, geometrią, astronomią, optyką i muzyką. Trzeci rodzaj magii wiązał się z geometrią poprzez figury i symbole; z muzyką – poprzez inkantacje i taneczne kroki; z arytmetyką – poprzez liczby i rachunki; z astronomią – poprzez powtarzalność faz, układów i poruszeń gwiazd; z optyką – poprzez *fascinia*, zafascynowane spojrzenie.

VII

Budowniczy Krzysztof Maria dolał oliwy do glinianej lampy, zaostrzył kolejne pióro, zanurzył je w inkauście i kreślił na żółtawym pergaminie dziwne znaki: rysował przybite do krzyża węże, anioła z kobiecymi piersiami, różdżkę owiniętą zapętloną nicią, owoce w kształcie gruszki buchającej żarem. Rysował i pisał równym duktem: „Miłowanie moje bohaterskie jest, a może i boskie jest. Takim je postrzegam, choć cierpię przez nie, jak męczennik za wiarę, bom jest oddzielony od Umiłowanej mojej, z którą chciałbym się połączyć na wieki i nigdy jej nie opuszczać. Oddzielony jestem od Umiłowanej mojej, więc członki moje ból przenika, jakby mnie na krzyżu rozciągnięto. Nie dlatego cierpię męki, że kocham, lecz dlatego, że radować się nie mogę Umiłowaną moją, jako się godzi i jako przystało. Nie cierpię z powodu ognia, który wypełnia ciało moje, lecz z powodu daremności poszukiwań, które niezmierny ból zadają. Niech inni myślą, żem nieszczęśliwy i na męki wydany. Jam w bólu mym szczęśliwy, bo nigdy Umiłowanej szukać nie przestanę i przenigdy złączenia z nią nie poniecham, dopóki kości me skóra pokrywa i krew w ciele krąży, a kiedy krążyć już przestanie i skóra z mięsem w proch się obróci, to dążyć będę do Umiłowanej mojej przez gwiazdy".

VIII

Krzysztof Maria nauczył się budowania mostów, studiował magię, astrologię, filozofów oraz medyczne traktaty, szukając w księgach ulgi dla swego cierpienia. Medycy uznawali podobne przypadki za chorobę i w trak-

tatach swoich pisali *de amore qui hereos dicitur*. Krzysztof Maria często sięgał do rozprawy *Lilium medicinale*, medyka z Montpellier, który *amore heroico* opisał jako melancholiczną trwogę spowodowaną miłością do kobiety.

Krzysztof Maria wyczytał w traktacie medyka z Montpellier, że przyczyna choroby *amore heroico* tkwi w zepsuciu wydolności oceny, wywołanym kształtem adorowanej postaci. Kiedy mężczyzna ulegnie miłości do kobiety, tworzy w umyśle swoim jej wygląd przekonany najzupełniej, że jest ona istotą najpiękniejszą, najczulszą i najwspanialszą na ziemi, obdarzoną nadzwyczajnymi przymiotami duszy i kształtami ciała, przeto pożąda jej bez umiaru wierząc, że jeśli swą żądzę zaspokoi, osiągnie szczęście.

Osąd jego tak wielce jest spaczony, że myśli jeno o kształtach tej kobiety, wszelkie prace zaniedbując i ledwie słyszy, co się doń gada. A skoro nieustannie pogrąża się w rozmyślaniach, jego chorobę nazwać trzeba melancholiczną trwogą. Choroba ta zwie się też *hereos*, ponieważ opływający w dostatki rycerze i mężowie szlachetnie urodzeni łacno na nią zapadają. Błogość jest w miłowaniu znakiem spełnienia, podobnie znakiem niespełnienia w miłowaniu jest *hereos*.

Krzysztof Maria wyczytał w rozprawie medyka z Montpellier, że wydolnością oceny, najważniejszą umiejętnością zmysłową, zawiaduje imaginacją, a imaginacja zawiaduje pożądliwością, a pożądliwość zawiaduje popędliwością, a popędliwość tę posiada cechę, że wprawia w ruch muskuły: z tego też względu ciało miotać się poczyna bez żadnego powodu, biega dzień i noc po ulicach, nie zważając ani na upał, ani na zimno, ani na wszelkie niebezpieczeństwa.

IX

Chorobę tę poznaje się po tym, pisał medyk z Montpellier, że człowiek nią dotknięty zapomina o spaniu, o jedzeniu i o piciu, całe jego ciało słabnie, z wyjątkiem oczu dziwnym blaskiem gorejących. Chory pogrążony w marzeniach sekretnych i głębokich, bolesne jęki wydaje, a jeśli usłyszy pieśń o losie rozdzielonych kochanków, natychmiast łzami sie zalewa, a kiedy, przeciwnie, pieśn słyszy o szczęśliwym kochanków połączeniu, śmiać się zaczyna, tańczy, śpiewa i w ręce klaszcze. Puls chorego bije nierówno i ze zmiennym natężeniem: staje się szybszy i mocniejszy kiedy chory posłyszy imię ukochanej lub zobaczy ją przed sobą.

Medyk z Montpellier uważał, że chorego leczyć koniecznie trzeba, bo inaczej zwariuje albo umrze. Ale jak leczyć? Chory może posłuchać rozumu albo i nie posłuchać. W pierwszym przypadku należy go uwolnić od fałszywych imaginacji dzięki słowom osoby, której chory się lęka. Osoba taka mową ostrą i zdecydowaną zawstydzić i napomnieć chorego powinna,

pokazać mu niebezpieczeństwa, wystawić zagrożenia czasów zepsutych, przypominać o Sądzie Ostatecznym i o rozkoszach w Raju.

W przypadku, kiedy chory nie wraca do rozumu, jeśli jest człowiekiem młodym, któremu można wymierzyć chłostę, należy go smagać często i mocno aż zmięknie obolały, a potem należy oznajmić mu bardzą smutną nowinę, żeby większa zgryzota przyćmiła mniejszą.

Albo należy choremu oznajmić nowinę wielce przyjemną, na przykład o mianowaniu go kasztelanem lub sędzią, albo że chory otrzymał znaczne dobra. Potem trzeba chorego wysłać w znaczącej potrzebie, albo niech podróżuje do odległych krain, żeby obejrzał widowiska rozliczne a ciekawe. Potem trzeba go nakłonić, by zadawał się z licznymi kobietami, aby kochanie wielu przegoniło miłość do jednej, jako czytamy u Owidziusza, który wzywał, by mieć dwie kochanki, a jeśli można, to znacznie więcej. Należy też zmienić choremu posiłki i przyjaciół, zalecać mu przechadzki po ukwieconych łąkach, po dolinach i po lasach, niech wdycha miłe wonie, niech podziwia piękne widoki, niech słucha śpiewu ptaków i muzyki.

A jeśli i to nie pomoże, uciec się trzeba do pomocy staruch, żeby go ośmieszyły i poniżyły. Trzeba odszukać staruchę wielce szpetną, z zębiskami i z brodą, obrzydliwie i brudno odzianą, z łonem pomazanym przez upławy, niech skrzeczy, niech rwie szaty chorego umiłowanej i na nie plwa, niech chory to widzi, niech starucha gada, że umiłowana ma parchy, że jest skończoną pijaczką, że szczy w łóżko, że wpada w drgawki i nie ma wstydu i niech starucha opowiada jeszcze inne świństwa, o których tylko staruchy wiedzą. A jeśli chory nadal się upiera, niech mu starucha podetka pod nos swe pakuły z upławami wrzeszcząc: „zobacz jak twoja umiłowana jest zrobiona, przyjrzyj się dobrze!" Gdyby nawet i to nie pomogło, nie z człowiekiem mamy do czynienia, ale z diabłem wcielonym.

Krzysztof Maria zatrzasnął z hukiem rozprawę medyka z Montpellier.

– „Nie…" – zajęczał – alchemia jest nauką o miłości, miłość jest magiczna. Eros jest heros!" Budowniczy Krzysztof Maria wstawał od stołu i zdecydowanym krokiem podchodził do pieca stojącego w kącie izby na trzecim piętrze pałacu przy ulicy Starej Świątyni, by podtrzymywać w nim temperaturę właściwą dla końskiego nawozu.

X

Biała Dama zatrzymywała się przy balustradzie mostu policzonego i wzniesionego przez budowniczego Krzysztofa Marię od strony kwartału Bagno, lewą dłoń opierała na kamieniu, a prawą unosiła, pozdrawiając samochody oraz motocykle mknące po nadsekwańskiej trasie na Prawym

Brzegu rzeki Sekwany, czyli rzeki Włók.

Biała Dama była filigranowa. Na główce nosiła czapeczkę wydzierganą z białej wełny, ozdobioną różyczką o czterech płatkach. Czapeczka przykrywała czoło i uszy, uwydatniała nos wąski, lekko zagięty, odrobinę orli.

Drobne dłonie Białej Damy chroniły rękawiczki również wydziergane z białej wełny, jako się już raz rzekło. Biała rękawiczka na prawej dłoni pozdrawiającej pojazdy odchylała się powoli raz w prawo, raz w lewo, niczym wskaźnik metronomu, z niezawodną precyzją. Twarz Białej Damy była nieruchoma, zastygła w ciepłym, ale też napiętym uśmiechu, wyraźnie ekstatycznym.

Mocno zgarbione plecy Białej Damy okrywał czarny skórzany płaszcz, lśniący w blasku ulicznych latarni rozpoczynających służbę z zapadnięciem zmierzchu. Spod płaszcza wystawały cienkie łydki w białych pończochach lub długich skarpetach, również wełnianych. Drobne stopy Białej Damy tonęły w białych, niegdyś, tenisówkach. Z ramieniu Białej Damy zwisała płócienna torba.

Najdziwniejsze były trzy barwy swetra zarzuconego na przygarbione plecy: węglista czerń, siarczysta żółć i purpura. Trzy poprzeczne pasy w ostrych, wyrazistych kolorach.

Biała Dama zwykła kłaść na balustradzie Mostu Marii dziwny kwiat, owinięty w przezroczystą folię. Tajemniczą roślinę, bardziej dziką niż ozdobną, o długiej i cienkiej łodydze, ze spiczastymi, wąskimi liśćmi. Takiej rośliny nie można kupić w kwiaciarniach w kwartale Bagno, ani na Lewym Brzegu rzeki Włók. To odmiana paproci. Paproć zakwita rzadko. Dziwnym zbiegiem okoliczności, gałązka Białej Damy kładziona na balustradzie Mostu Marii zawsze rozkwitała.

Odmiana paproci kładziona przez Białą Damę zwie się wietlicą samiczą. W Średniowieczu i później, w czasach, kiedy Krzysztof Maria budował mosty, wietlicy samiczej używali alchemicy do rozpalania Tajemnego Ognia w piecu zwanym Athanorem, a Paracelsus stosował wietlicę samiczą, wysuszoną i zmieloną na proszek, do rtęciowych substancji łagądzych skutki choroby kardynalskiej, czyli syfilisu. W Athanorze wietlica samicza musiała płonąć razem z narecznicą samczą, męską odmianą paproci.

Biała Dama pozdrawiała pojazdy w ustalonym i jednolitym rytmie. Trzy słonienia dłoni w lewo, ku katedrze Notre-Dame, trzy skłonienia dłoni w prawo, ku kwartale Bagno i trzy skłonienia dłoni ku potylicy do róży o czterech płatkach. Dłoń Białej Damy wskazywała basztę w Pałacu Zmysłów, (w którym mieści się obecnie biblioteka specjalizująca się w historii sztuki, w maskowych przedstawieniach teatralnych oraz w dziejach mody).

Biała Dama powtarzała po trzykroć potrojone ruchy, odwracała się w stronę Hotelu Zmysłów i poruszała wargami. Biała Dama coś mówiła,

ale to chyba była jednak melorecytacja.

XI

Tamtego sierpniowego popołudnia 2009 roku, kiedy lato mocowało się z jesienią, Most Marii stęknął i zaskrzeczał. Przęsło od strony Wyspy Świętego Ludwika wyraźnie zadrżało. Biała Dama wyciągnęła prawą dłoń i posłyszałem wtedy, wyraźnie dziwne słowa:

Indem der weise Mann zu tausendmalen stribt,
er durch die Wehrheit selbst um tausend Leben wirbt.

Urano ano, urano kato,
astera ana, astera kato

Kein Tod ist herrlicher, als der ein Leben bringt,
kein Leben edler, als das aus dem Tod entspringt.

Urano ano, urano kato,
astera ana, astera kato

Kiedy mądry człowiek tysiąckroć umiera,
prawda tysiącrotne życie mu otwiera.

Niebo na górze, niebo na dole,
gwiazdy na górze, gwiazdy na dole.

Śmierć najchwalebniejsza ta, co życie niesie,
życie to szlachetne, co się z śmierci wzniesie.

Niebo na górze, niebo na dole,
gwiazdy na górze, gwiazdy na dole.

Po zakończeniu obrzędowej melorecytacji i wypełnieniu rytuału gestów magicznych, Biała Dama zabrała z kamiennej balustrady gałązkę wietlicy samiczej. Zgarbiona i ekstatycznie uśmiechnięta, przeszła na drugą stronę Mostu Marii, usiadła na podmurówce metalowego płotu strzegącego trawników Pałacu Zmysłów. Biała Dama wyciągnęła z torby butelkę bordeaux i korek wsadzony do połowy w szyjkę, odrzuciła w tył głowę, z gulgotem wlała wino w gardło. Schowawszy butelkę do torby, podniosła się z trudem i jak zwykle podrobiła zgarbiona w stronę Bagna, które ją wchłonęło.

Tamtego popołudnia 2009 roku, kiedy lato zmagało się z jesienią, a Biała Dama drobiła w stronę Bagna, przęsło Mostu Marii od strony Wyspy Świętego Ludwika stęknęło znowu, balustrada z jezdnią wyprężyła się jak grzbiet kota.

Biała Dama przystanęła. Uniosła gałązkę wietlicy samiczej nad głowę, wyprostowała plecy i z wspiąwszy się na palce, z zadziwiającą lekkością wykonała kilka tanecznych kroków, odchylając się w tył i w przód, w tył i w przód. Z gałązki wietlicy samczej sypnęły złote iskry lub może drobne płatki kwiatu paproci.

Most ucichł, lecz pozostał wygięty.

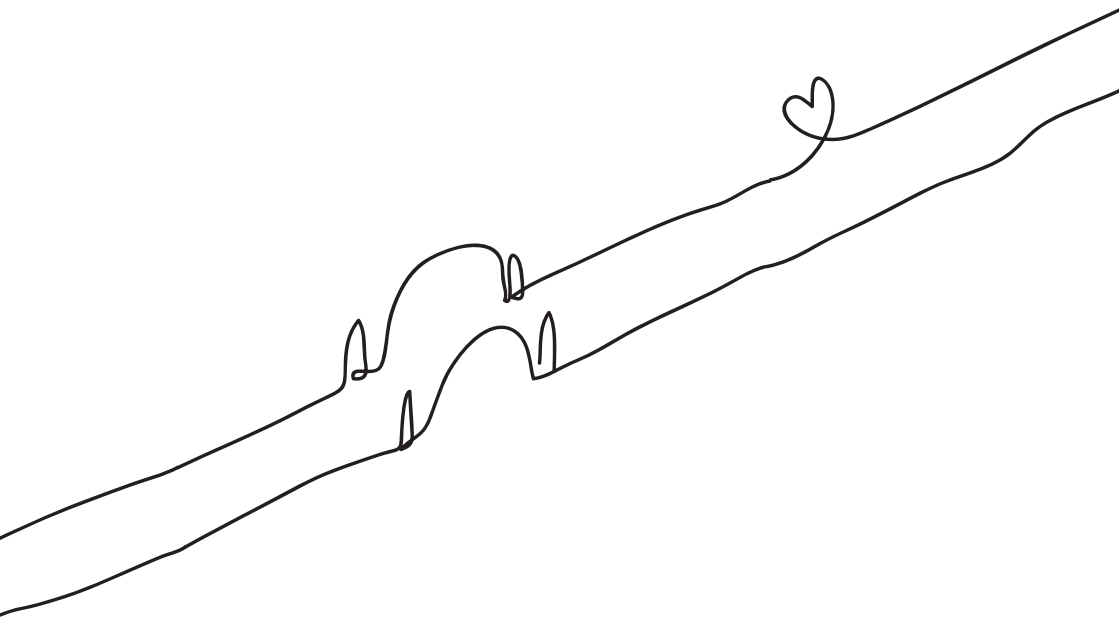

Paulina Dobija

Definiowanie miłości
– Antologia kontrowersyjna

Pisać poezję o miłości może każdy – ale pisać ją dobrze? To już sztuka. Ckliwych, pozbawionych smaku wierszy jest na pęczki, za to prawdziwej poezji, która porusza i zamiast szybko odchodzić w niepamięć zostaje z nami na długo, jest garstka.

Tak się szczęśliwie składa, że wiele liryków miłosnych,, które rozdzierają duszę tylko po to, by znów złączyć ją w całość, które trafiają w sedno i wyrażają myśli, jakich większość z nas nie potrafi nawet uchwycić… Że wiele takich liryków, które naprawdę na miano poezji zasługują, możemy znaleźć w jednym zbiorze: Wiersze o miłości. Antologia kontrowersyjna, opracowanym przez Roberta Stillera i wydanym w 1990 roku.

Zbiór ten jest w moim domu od lat: najpierw zaczytywała się w nim moja mama, potem starsza siostra, a teraz uczy on miłości mnie. Autorzy, od Titusa Lucretiusa Carusa, przez Octavia Paza, aż po Wisławę Szymborską, definiują miłość od nowa; wyrażając swoje najskrytsze myśli, pragnienia i obawy, obnażają przed nami swoje dusze.Jednakże tom ten to nie tylko wzruszające, przepełnione rozkoszą lub goryczą wiersze. To także żartobliwe opowieści o małżeńskiej codzienności, kontrowersyjne opisy miłosnych uniesień i perwersji. To pozycja odpowiednia dla każdego, kto zaznał miłości – czy to szczęśliwej, czy nie – i dla każdego, kto o miłości marzy; pozycja na każdy miłosny nastrój.

Cierpiącym miłosne katusze – przyniesie ukojenie, znudzonym – przyjemność, a czekającym – nadzieję.

Natalia Jarnuszkiewicz

Niedawno

Niedawno po raz kolejny powróciłam do tekstu Martina Heideggera p.t. *Źródło dzieła sztuki*. Odczuwam potrzebę powrotów. Dają możliwość ujrzenia znanej już rzeczy na nowo, oświetlenia inaczej. Lubię mierzyć się ze śladem, jaki pozostawiły we mnie teksty, obrazy, miejsca, sprawdzać jego kształt raz jeszcze, redefiniować. Uprawiam śladowanie, mapowanie śladów, obserwację zmian. Powróciłam po kilku latach. Nie jako do lektury, obowiązkowej na studiach, z której trzeba zdać egzamin na koniec semestru, nie jako do przymusu. Przymus często odbiera swobodę interpretacji, hamuje przepływ myśli, emocji i energii, który zachodzi przecież w każdej interakcji człowieka z człowiekiem. Postanowiłam zatem ponownie poddać się interakcji z Martinem Heideggerem, z jego myślą i zasobami, które płyną z jego dorobku.

Myśl Heideggera niezłomnie zmierza w kierunku odpowiedzi na pytanie: gdzie znajduje się, przebywa, a może – gdzie wybija źródło tego, co nazywamy dziełem sztuki. Co nim jest, a co nie jest, czy są jakieś składowe, wyznaczniki, kierunkowskazy? Nie zamierzam streszczać tej myśli. Nie zamierzam też polemizować z nią ani dokonywać jej apoteozy. Zamierzam podzielić się spostrzeżeniami, które zrodziły się we mnie podczas powrotu do *Źródła dzieła sztuki*.

Na początek te dwa pojęcia: ziemia i świat. U Heideggera funkcjonują one w specyficznym, oderwanym od potocznych znaczeń środowisku semantycznym. Pisze Heidegger tak: wystawianie świata i ustawianie ziemi są dwoma istotnymi rysami w byciu dzieła dziełem [1]. (…) *Świat nie jest zwykłym skupiskiem obecnych rzeczy, policzalnych i niepoliczalnych, znanych i nieznanych. Ale świat nie jest również jedynie wyobrażonym obramowaniem, przedstawionym i dostawionym do sumy tego, co obecne. Świat „światuje" i jest bardziej bytujący niż to, co uchwytne i odbieralne, a w czym, jak sądzimy, jesteśmy zadomowieni. Świat nigdy nie jest przedmiotem, który stoi przed nami i który możemy oglądać. Świat jest czymś zawsze nieprzedmiotowym, czemu podlegamy, dopóki koleje narodzin i śmierci, błogosławieństwa i przekleństwa, trzymają nas odsuniętymi w bycie. Tam, gdzie zapadają istotowe rozstrzygnięcia naszych dziejów, podejmowane przez nas i porzucane, o których zapominamy, i o które znów się dopytujemy, tam światuje świat.(…) Gdy otwiera się*

1 M. Heidegger, *Źródło dzieła sztuki*, [w:] *Drogi lasu*, Warszawa 1997, str. 28, 32.

świat, wszystkie rzeczy otrzymują swoją chwilę i pośpiech, swoją dal i bliskość, swoją rozległość i ściśliwość [2].

Ziemia natomiast jest *do niczego nieprzymuszoną niestrudzoną wytrwałością. Dziejowy człowiek za ziemi i w niej gruntuje swoje zamieszkiwanie w świecie. (…) Jawnie przejaśniona, ziemia przejawia się jako ona sama tylko tam, gdzie dostrzega się ją i przechowuje jako z istoty nieotwieralną, uchylającą się przed każdą próbą otwarcia, a to znaczy pozostającą stale zamkniętą. W innym jeszcze miejscu Heidegger pisze: Drzewo i trawa, orzeł i byk, wąż i świerszcz wchodzą najpierw w podjętą przez siebie postać i w ten sposób wychodzą na jaw jako to, czym są. Owo wychodzenie na jaw i wschodzenie, samo i w całości (…), nazywamy ziemią. Znaczenie tego słowa jest odległe zarówno od przedstawienia okrzepłej, materialnej bryły, jak i od astronomicznego pojęcia jednej z planet. Ziemia rozjaśnia to, na czym i w czym człowiek ugruntowuje swoje zamieszkiwanie. Jest tym, w czym wschodzenie chroni wszystko to, co wschodzące, a mianowicie – jako takie* [3].

Nieuchwytny świat i zamknięta ziemia, dynamika i statyka, coś, co nieustannie się zmienia i coś, co trwa i chroni to, co wschodzące, coś, co dąży do otwarcia i coś, co przed nim umyka – taką opozycję buduje przed nami Heidegger. Świat i ziemia są różne w swej istocie i w sobie nawzajem wschodzące. *Świat gruntuje się na ziemi, ziemia przerasta świat* [4]. Świat dąży do przewyższenia ziemi, ziemia zamyka w sobie świat. Ich stosunek jest zawsze sporem. Powiada Heidegger: *wszelako w istotowym sporze, spierający wspierają się w samopotwierdzeniu swojej istoty. Samopotwierdzenie istoty nigdy nie jest upieraniem się przy jakimś przypadkowym stanie rzeczy, lecz samorezygnacją prowadzącą w skrytą źródłowość własnego bycia* [5]. A zatem spór ziemi i świata jest relacją konieczną dla wyjawienia w pełni istoty jednego i drugiego, oddzielnie i razem. I dzieło, zdaniem Heideggera, jeśli uda mu się wystawić świat i ustawić ziemię, jest wywoływaniem tego sporu. Dzieje się on po to, by pozostać sporem, by dzieło mogło go podejmować, bo w tym sporze, w jego harmonii i jedności, odłożona jest prawda.

Tu się zatrzymam. Chwila oddechu. Tu zaczyna się myśl, która do mnie przyszła. Co się stanie, jeśli słowa „świat" i „ziemia" zamienimy odpowiednio słowami „intelekt-rozum" i „emocje-uczucia"? Idąc dalej tym tropem, powinniśmy zamienić słowo „dzieło" słowem „człowiek". Jeśli się chwilę zastanowić, jasnym staje się, iż jedynie człowiek jest w stanie tworzyć dzieła, bądź uznawać to, co stworzyła na przykład małpa, za dzieło. Dzieło sztuki zatem w logiczny sposób wynika z człowieka. Możemy powiedzieć za

2 *Ibidem*, str. 29.
3 *Ibidem,* str. 30
4 *Ibidem*, str. 31
5 *Ibidem*, str. 33

Heideggerem, że objawia się przez człowieka jakiś byt wyższy. Jakiej by perspektywy nie przyjąć, faktem jest, że wszelka twórczość jest twórczością jedynie za sprawą naszej świadomości. To zaś jaki „rodowód" ma nasza świadomość, pozostaje póki co kwestią wiary. Dlatego warto skupić się na tym, co możemy zrobić, by jak najpełniej odsłonić nasze bycie w świecie.

Czytając fragmenty dotyczące świata i ziemi, nie mogę oprzeć się porównaniu, o którym wspomniałam wyżej. Takie skojarzenia nawiedzały mnie podczas lektury Heideggera i postanowiłam je odnotować. Co wynika z faktu przyjęcia umownego podziału na świat-intelekt i ziemię-emocje? Jest to podział w gruncie rzecz dość psychologiczny. Rozwijając tę metaforę, intelekt-rozum, będzie czymś dynamicznym w człowieku, czymś z założenia otwierającym się, będzie elektronem poruszającym się na orbicie w atomie. Gdy przeskakuje z jednej orbity na drugą, wydziela się kwant energii. Żeby jednak przeskoczył, muszą istnieć „orbity". Te orbity to coś statycznego, to ziemia, to emocje i uczucia. Wbrew pozorom są one bardzo statyczne, bardzo nieruchome i nienazwane. Dopiero słowa dają im moc życia. Dopiero dotarcie do nich, jako takie nazwanie ich i przeżycie, uwalnia i daje możliwość podjęcia owego heideggerowskiego sporu, *w którego harmonijności ma swoją istotę spoczynek spoczywającego w sobie dzieła*[6]. Ktoś może mi zarzucić, że słowa to jest zaledwie niecała połowa komunikacji ze światem, że sfera niewerbalna, gesty, mimika, ruchy, sposób chodzenia, że to wszystko więcej mówi o naszej istocie, o tym, co w nas drzemie, o naszej prawdzie, bądź o prawdzie w nas odłożonej w nas. Jak najbardziej zgadzam się z tym stwierdzeniem.

Wszystko to jednak dzieje się w znacznej mierze nieświadomie. Nieświadomie wysyłamy światu komunikaty, nieświadomie nasza prawda o nas próbuje przedostać się na zewnątrz. Dlatego też istotne jest zwrócenie się ku sobie, zagłębienie się w siebie w celu próby skomunikowania naszej „ziemi" z naszym „światem". To i tak, w mojej ocenie, do końca nigdy nie będzie możliwe. Nie będzie możliwe z wielu powodów, choćby z takiego, że zawsze odczuwać będziemy lęk przed śmiercią. Lęk ten, nawet jawnie wystawiony i wyłoniony przez nasz „świat", przywiedziony w nieskrytość, zawsze z nami wygra. Mówiąc „wygra" mam na myśli, że w różnych momentach życia będzie na tyle intensywny i ogarniający, że zaburzy harmonijność sporu świata i ziemi. A gdy zaburzy harmonię, prawda znów się przed nami ukryje. Oczywiście wiara i religia skutecznie pomagają ludziom znosić tego typu niedogodności, jednakże w gruncie rzeczy jest to, w mojej ocenie, zagłuszanie lęku. Zagłuszając i tak już zamknięte w nas tajemnice,

6 *Ibidem*, str. 29.

odbieramy sobie możliwość ujawnienia naszej istoty.

Dopiero w momencie podjęcia próby wywołania w nas, jawnego wydobycia na wierzch sporu dajemy sami sobie szanse na to by, jak pisze Heidegger, *od strony spoczynku spowodowanego harmonijnością sporu świata i ziemi, dojrzeć to, co się w dziele udziela. A w dziele udziela się prawda* [7]. Jeśli więc dzieło, jak założyliśmy wyżej, jest tożsame z człowiekiem, dochodzimy do takiej sytuacji, w której dopiero wówczas, gdy człowiek podejmuje próbę spotkania swojego rozumu z popędami, emocjami i sferą psychiczną, gdy podejmuje próbę ubrania w słowa tego, co nim powoduje w najgłębszych pokładach jego podświadomości, wtedy daje szansę wystąpieniu i wyjawieniu się odwiecznego sporu, który i tak się w nim toczy, a tocząc się nieświadomie, toczy się nieharmonijnie. W innym wypadku ze sferą popędowo-psychiczną człowieka dzieje się dokładnie to, co z heideggerowską ziemią. Pozostaje zamknięta. Coś przeczuwamy, coś nami targa, kogoś nienawidzimy, kogoś kochamy, jest w nas jakaś forma zachwytu i jakaś forma lęku, oraz ogrom innych tajemnic. Stanowią one najgłębszą istotę człowieka, tak głęboką, że nawet sama natura umieściła ją w płacie limbicznym mózgu, do którego ośrodek mowy nie ma dostępu. *Ziemia przejawia się jako ona sama tylko tam, gdzie dostrzega się ją jako z istoty nieotwieralną* [8]. Możemy zważyć, zmierzyć drzewo, opisać jego wiek. Ono samo pozostaje dla nas zamknięte. Jego prawda pozostaje dla człowieka nieodkryta. Nie wiadomo, czy pozostaje zamknięte samo dla siebie;, Heidegger tak raczej tak uważa, najprawdopodobniej tak jest w jego ocenie, ponieważ tylko spór ziemi i świata może wyjawić, otworzyć prześwit i ukazać prawdę o bycie i o byciu. I w ocenie Heideggera drzewo nie posiada czegoś takiego jak świat. Świat posiada tylko człowiek, bo jedynie człowiek posiada rozum, który buduje takie pojęcia jak: „ czas", „pamięć", „tożsamość". Tylko człowiek pomieszcza w sobie świadomość i popędy, dzianie się i trwanie, dynamikę i statykę.

Zatem jedynie człowiek jest w stanie odkryć prawdę, ale, co ważniejsze, jest w stanie odkryć zawsze jedynie prawdę o sobie. Nie ma sensu już dziś spierać się o istnienie jednej, odwiecznie gdzieś przebywającej prawdy. Jeśli takowa istnieje – tym lepiej. Nie urodził się jeszcze taki człowiek, który znałby i pokazałby do niej drogę. Nie chodzi tu, rzecz jasna, o drogę religii – ta droga jest szlachetna, acz, w mojej ocenie, tłumiąca poszukiwania. Każe zawierzyć, zaufać, nie pytać. Nie pytać – znaczy: nie rozwijać się, znaczy: trwać i na każde przeczucie, na każdy zew mokrej, ciężkiej ziemi w głębi nas odpowiadać: to grzech, tam nie wolno zaglądać, trzeba się

7 *Ibidem*, str. 31.
8 *Ibidem*, str. 31.

wyrzec, wierzyć, czekać. Póki nie pojawi się ktoś, kto pokaże światu tę „jedyną przedwieczną prawdę" (zakładając, iż takowa gdzieś egzystuje w formie bliżej niesprecyzowanej materii), pozostaje nam jedynie, a może aż, prawda o sobie, nasza własna prawda, intuicja, wczucie się w siebie. Poznanie siebie na tyle, na ile jest to możliwe. I to zadanie definiuje jako naczelne zadanie każdego człowieka, a szczególnie artysty. Wywołanie, świadome wyłonienie sporu istotowo nieotwieralnej ziemi i nieustannie otwierającego się świata prowadzi do odkrycia prawdy o sobie. *Prawda jest istotą tego, co prawdziwe. Istota zaś tkwi w tym, czym byt jest naprawdę. Inaczej mówiąc, prawda jest nieskrytością bytu (…), ziemia przerasta świat, a świat jest ugruntowany na ziemi, tylko o tyle, o ile dzieje się prawda jako praspór prześwitu i skrycia. Ale jak się dzieje prawda? Odpowiadamy: dzieje się ona na kilka istotnych sposobów. Jednym ze sposobów dziania się prawdy jest bycie dzieła dziełem. Wystawiając świat i ustawiając ziemię, dzieło podejmuje spór, w którym poprzez walkę wiedzie do nieskrytości bytu w całości, do prawdy* [9].

Odłożyć na bok kulturę, płeć, politykę, historię, sztukę, media, skierować swój intelekt na siebie i zapytać, kim jestem, i, co ważniejsze, po co jestem – to znaczy: dać szansę sporowi, który w nas się istoczy. Zapytać siebie, co to znaczy, że jednym ze sposobów dziania się prawdy jest bycie dzieła dziełem, bycie człowieka człowiekiem. To jest ważne zadanie. Dzieje się to zawsze wtedy, gdy dopuścimy do głosu samych siebie w sobie. Gdy żyjemy nasze życie z fantazją. Gdy pozwolimy sobie na praspór prześwitu i skrycia, na konflikt w nas samych, i dostrzeżemy go jako źródło zasobów, a nie jako źródło zagłady. Gdy odważymy się puścić wodze fantazji…

„Fantazja" jest ciekawym słowem w języku polskim. Celowo używam właśnie tego, a nie innego słowa. Zawiera ono w sobie silny semantyczny komponent niepowagi, złudzenia, naiwności. Fantazję mają dzieci, ułańską fantazję ma ktoś, kto nieustannie wymyśla niestworzone rzeczy. Kojarzy się ją z bajką, baśnią, ostatecznie z Freudem. Ciągnie się za nią widmo pobłażliwości. Nie specjalnie lubi się ze sztuką. Zwłaszcza ze sztuką drugiej połowy XX wieku, gdzie króluje eksperyment, badanie granic, podważanie, kody semiotyczne, gdzie znalazła swoją niszę inność. Zapewne to dobrze. Niemniej jednak smutne jest to, że inność potrzebuje manifestacji i czuje się zagrożona. Sama agresywna ekspansja powoduje jej umieranie. Wzorowanie się, powoływanie się, cytowanie, i nieustanna intertekstualność zaczęła hamować fantazję i realną wewnętrzną kreatywność człowieka, a to właśnie w niej swój rdzeń ma wszelka inność. Fantazja w nas ożywa w nas, gdy pośród zgiełku wielu tekstów kultury i sztuki usłyszymy siebie. Wtedy też

9 *Ibidem*, str. 38.

mamy szansę na inność w pełnej okazałości. Gdy właśnie pochylimy się w siebie i ujrzymy jak *spierający* [ziemia i świat] *wspierają się w samopotwierdzeniu swojej istoty* [10]. Wtedy powoli zostają puszczone wodze fantazji, a ona sama może powoli się rozpędzać.

Takie oto myśli nawiedziły mnie w trakcie tegorocznej lektury *Źródła dzieła sztuki*. Zwrócenie uwagi na fakt, iż heideggerowskie kategorie ziemi, świata, prześwitu dzieła i prawdy odnoszą się w gruncie rzeczy do człowieka i jego człowieczeństwa, jest dla mnie fundamentalne i konieczne, by móc powrócić do tego, o co ma na myśli Baudrillard, gdy pisze: *obraz jest zawsze dwuwymiarową abstrakcją świata – jest tym, co pozbawia jednego wymiaru świat rzeczywisty, a przez to zapoczątkowuje moc tworzenia złudzeń* [11]. Zdanie to wydaje się o tyle ciekawe, że, gdy założyć jego prawdziwość, okazuje się, że obrazy XIX-wiecznych pejzażystów też są abstrakcją. I gdy się nad tym głębiej zastanowić, można przyznać Baudrillardowi rację. Każde odebranie, eliminacja jakiegoś wymiaru, tworzy elipsę, pustkę, która jest miejscem na percepcję odbiorcy. Trafnie opisuje to Baudrillard dając przykład Opery Pekińskiej, gdzie kreowanie nocy i rzeki odbywało się w ruchu dwóch ciał, poruszających się najbliżej siebie jak to tylko możliwe, bez rzeczywistego dotknięcia. Ciemność, dźwięk i ruch rzeki tworzyły się z zupełnie innych, niewłaściwych rzece i nocy elementów. Złudzenie, jakiemu tam ulegano, było, jak pisze autor, całkowite i przemożne, było wręcz fizyczną ekstazą. Działo się tak dlatego, że przy pomocy dwóch ciał ludzkich udawało się stworzyć iluzję płynącej nocą rzeki. Ruch ciał był właśnie ową semantyczną pustką, oderwaniem znaczenia od desygnatu i stworzeniem przestrzeni na nowe znaczenia, względem starych desygnatów. Ta znaczeniowa elipsa pobudzała wyobraźnię widza.

Moc tworzenia złudzeń – to jest moc, która rodzi się wówczas, gdy zdobędziemy się na to, by puścić wodze fantazji. To jest moc właściwa dziecku, choć dziecko, nie będąc tego świadome, nie może z niej w pełni korzystać. To jest moc pełna migoczącej tajemnicy życia. Czuć w niej tętniące i pulsujące odradzanie się. Moc tworzenia złudzeń to wypuszczenie z rąk tego co już znamy, to wielka, ekscytująca podróż. To baśń i mit, które warto tworzyć, bo w nich zadzierzgnięte są haczyki wiodące do spoczywającego w nas, w harmonii i samopotwierdzeniu, sporu ziemi i świata, w którym istoczy się źródłowość, czyli prawda i piękno. Prawda i piękno o tym, co Antoinnie de Saint -Exupéery nazwał Ziemią, planetą ludzi.

10 *Ibidem,* str. 21.
11 J. Baudrillard, *Spisek sztuki,* Warszawa 2006, str. 41

Mariusz Gosławski

Z filiżanki

Moja historia malowania kawą ma swój początek we Wrocławiu, gdzie tuż po studiach odwiedziłem siostrę. Brak pieniędzy na farby, z trudem starczało na życie i tak pojawiła się kawa, chociaż sam jej nie piję. Pierwszą pracę zrobiłem na próbę i zdjęcie zamieściłem na stronie jednej z internetowych galerii. Odzew był bardzo dobry. W 2009 roku przeczytałem artykuł o ludziach malujących kawą. Autorka wymienia sześć znanych osób malujących kawą na świecie. Są tam twórcy z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, czy Filipin. Wśród nich znalazłem się także ja. Choć nikt nie zdradzał tajemnic warsztatu, swój własny wypracowywałem metodą prób i błędów. Doświadczenia nabrałem z czasem. Na efekt końcowy prac ma wiele czynników. Okazało się, że inaczej wychodzą prace w plenerze i w domu (inna temperatura powietrza, wilgotność), w słońcu i przed deszczem, z kawy rozpuszczalnej i własnoręcznie przemielonej, ze świeżo zaparzonej kawy i takiej, która została zaparzona kilka miesięcy wcześniej. Często się śmieję i powtarzam, że najlepsze prace wychodzą z kawy, którą dostanę za darmo. I dostaję. Efekt jest taki, że powstają coraz to nowsze prace i coraz lepsze. Bo ciągle uczę się czegoś nowego, poznaję nowe rodzaje kawy, odkrywam nowe odcienie. A prace – te oryginalne jak i zamieszczane w Internecie – zachwycają oglądających na całym świecie.

Mariusz Gosławski

Patrycja Łupińska

Lustro

Katarzyna Podsławek

Białe złoto

Katarzyna Podsławek

Dominika Trusewicz

Soma

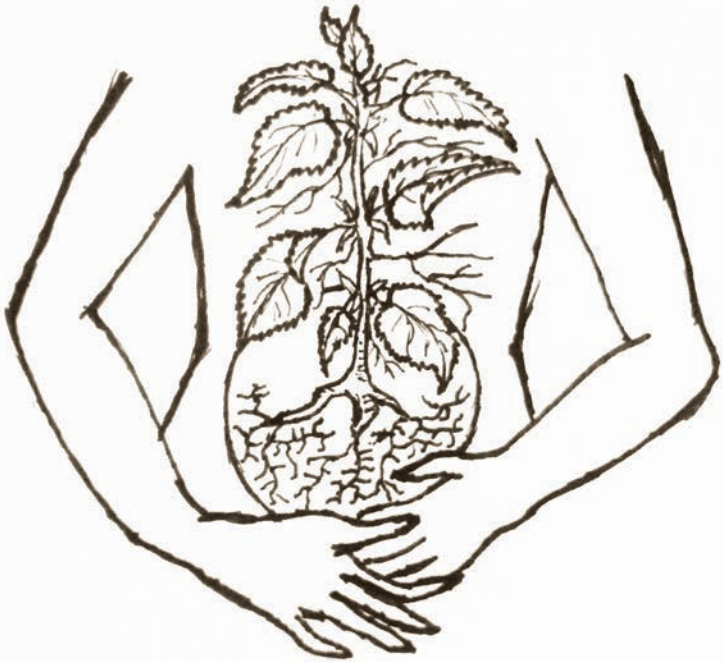

Dominika Trusewicz

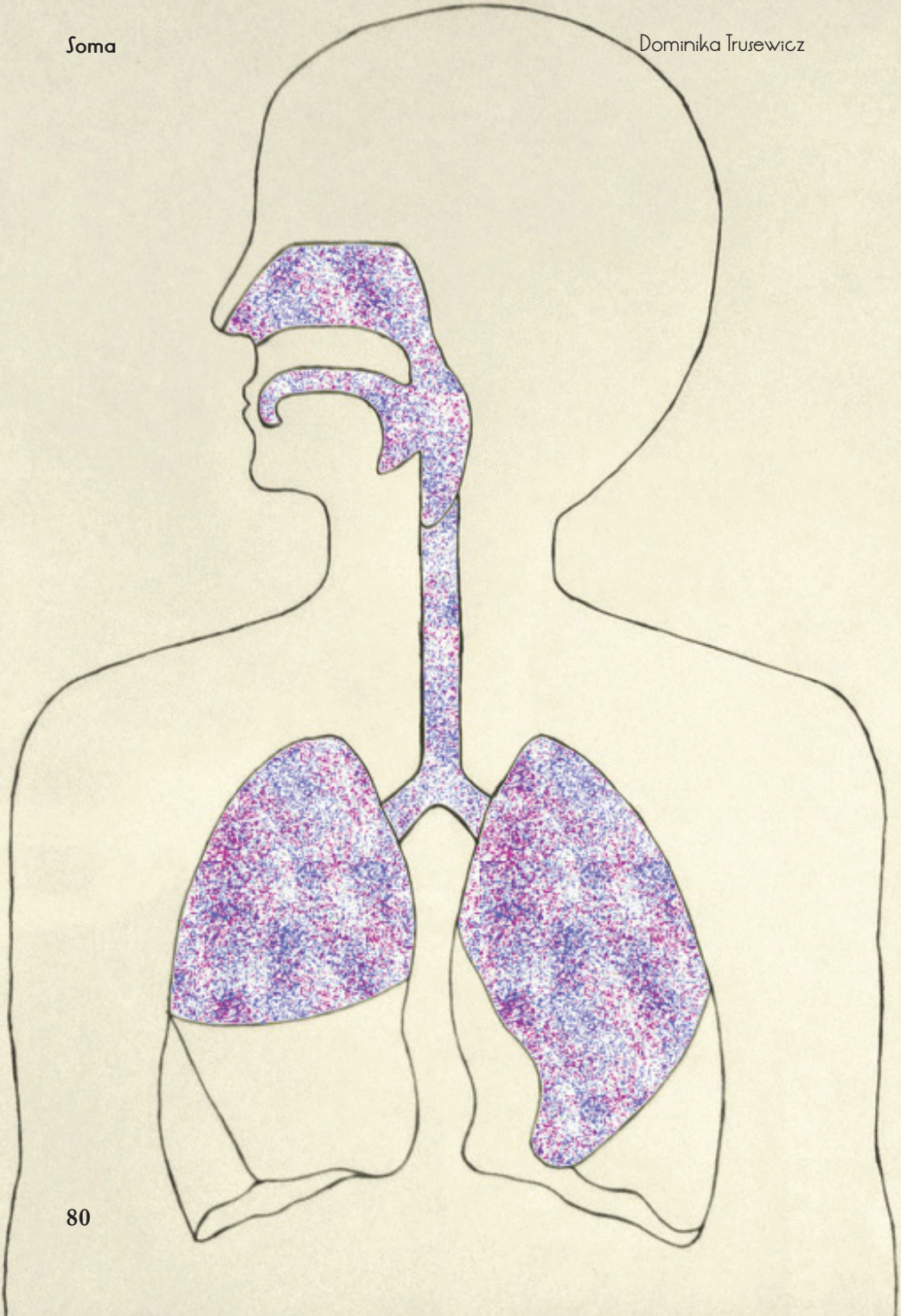

Magdalena Gawęcka

Wejrzenie

Magdalena Gawęcka

Magdalena Gawęcka

Magdalena Gawęcka

Wejrzenie

Monika Panek

Nieobecność

Piotr Olszak

Element

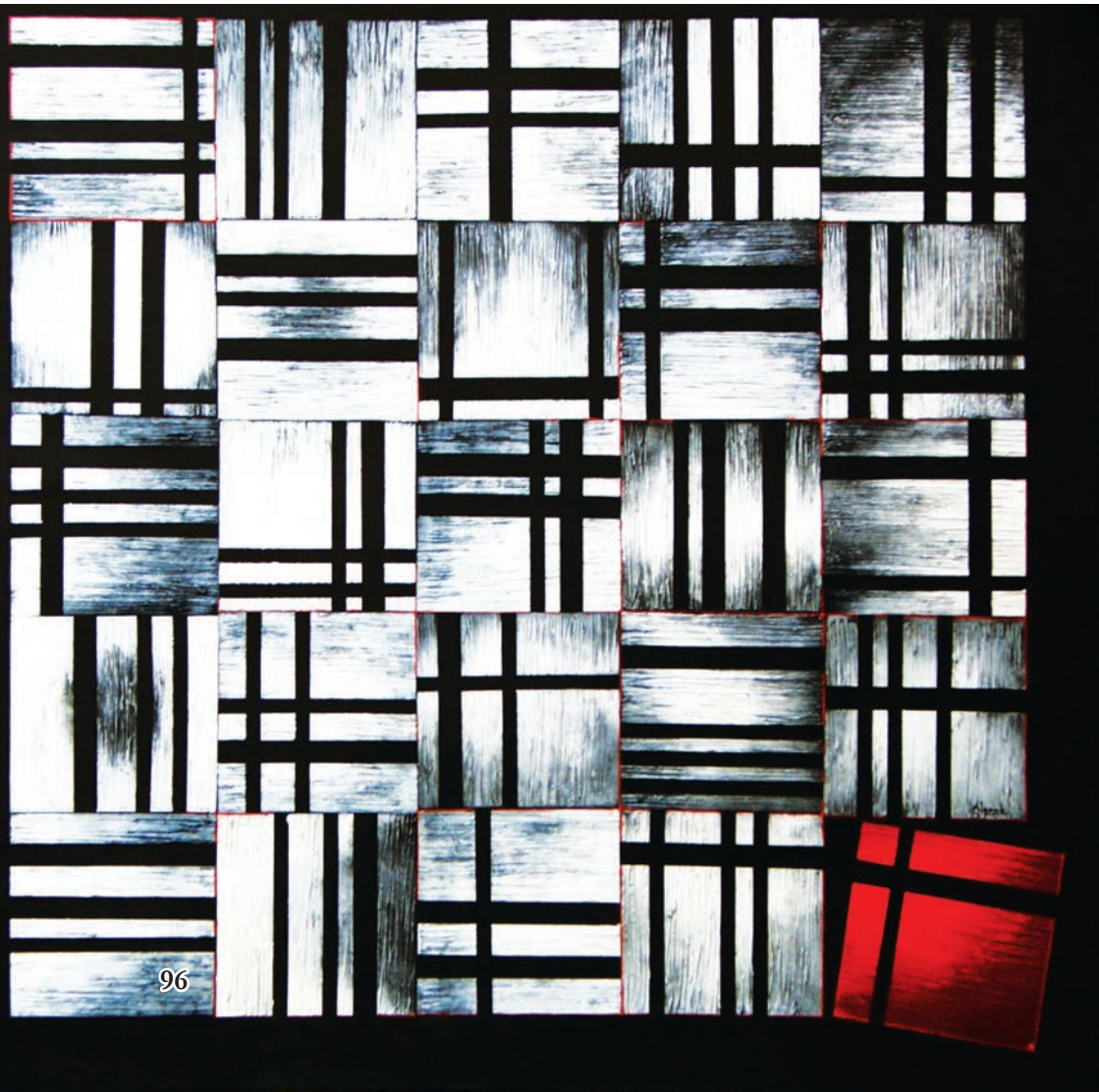

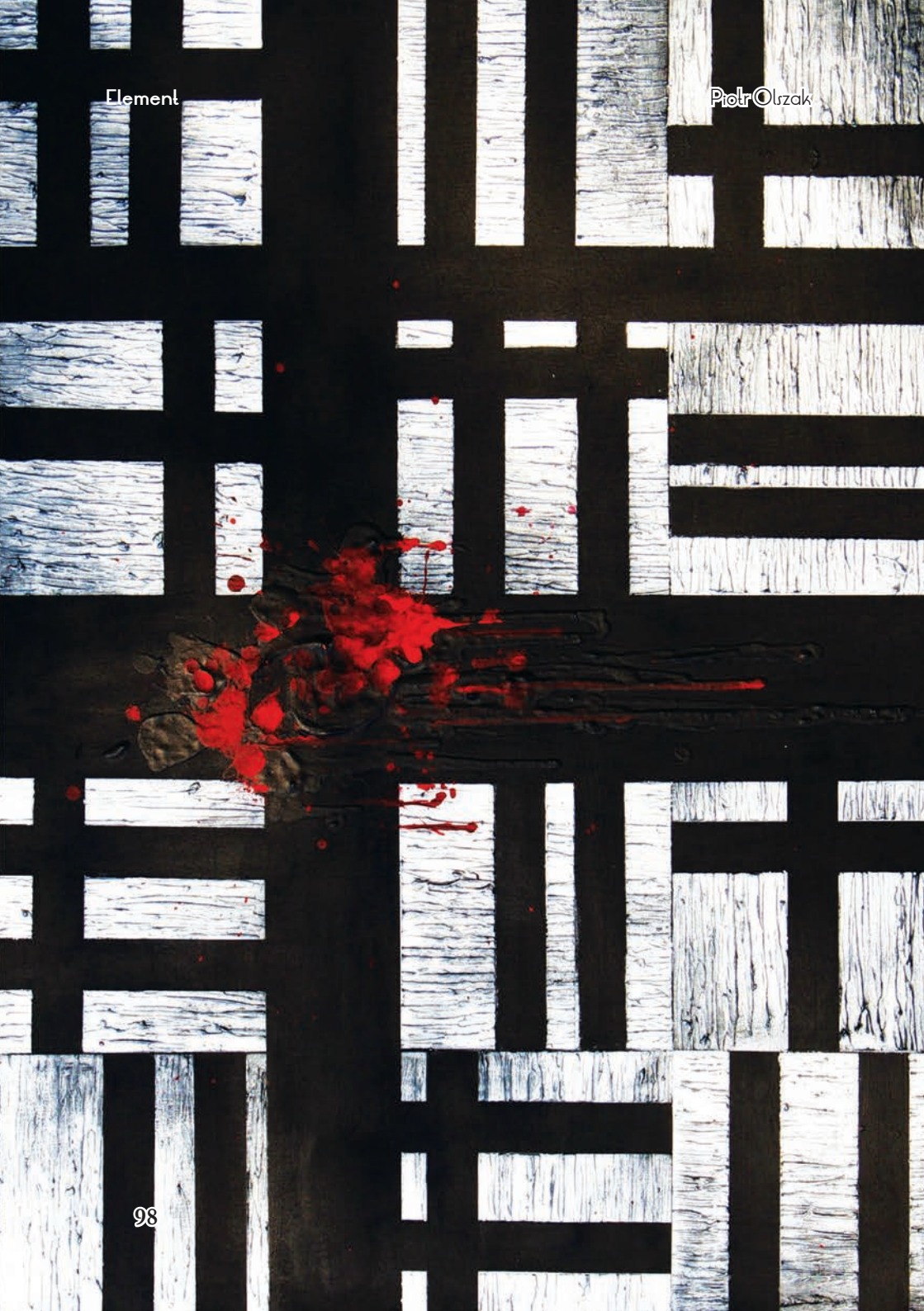

Daria Górkiewicz

Panie Piaskowe

Daria Górkiewicz

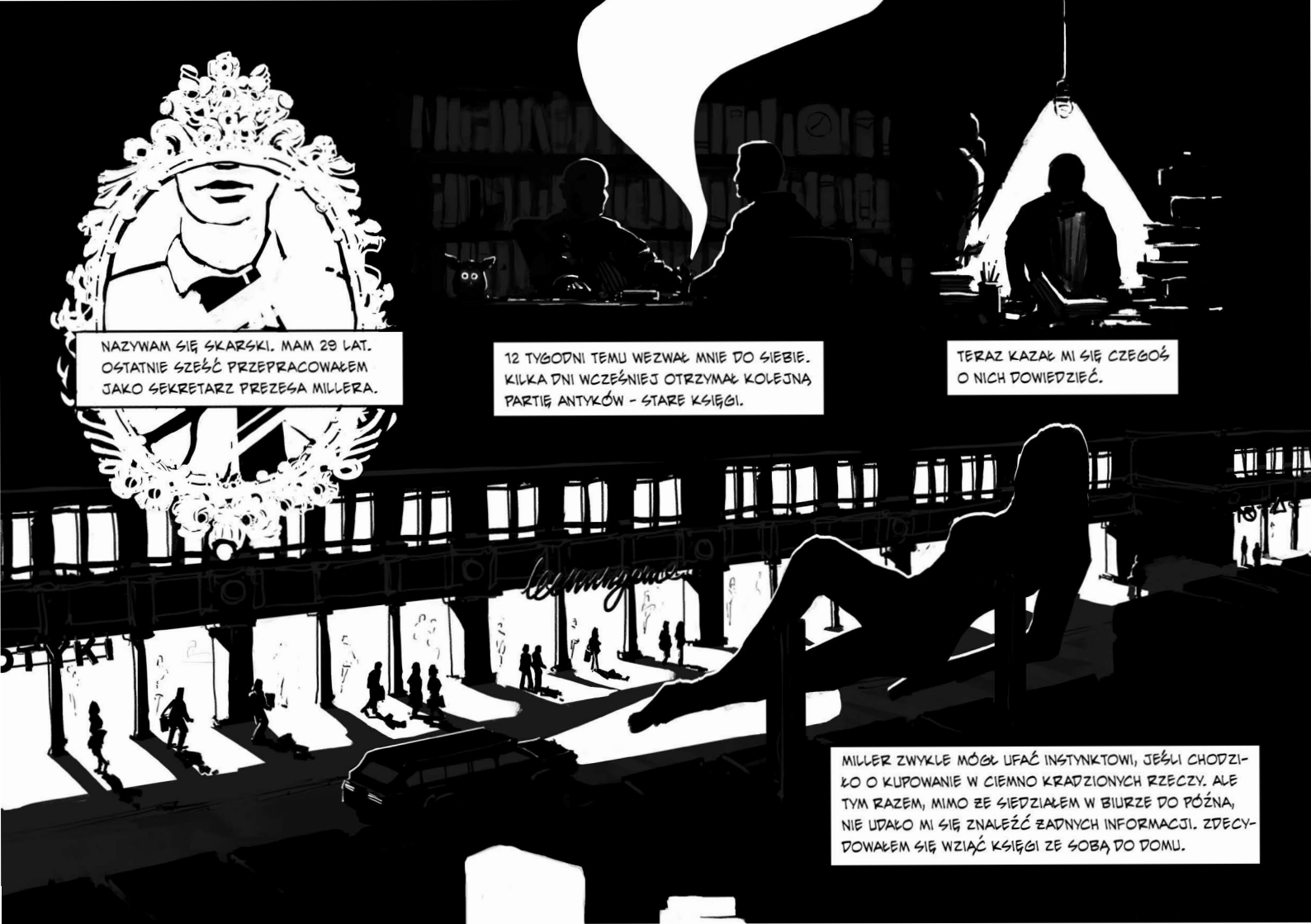
NAZYWAM SIĘ SKARSKI. MAM 29 LAT. OSTATNIE SZEŚĆ PRZEPRACOWAŁEM JAKO SEKRETARZ PREZESA MILLERA.
12 TYGODNI TEMU WEZWAŁ MNIE DO SIEBIE. KILKA DNI WCZEŚNIEJ OTRZYMAŁ KOLEJNĄ PARTIĘ ANTYKÓW – STARE KSIĘGI.
TERAZ KAZAŁ MI SIĘ CZEGOŚ O NICH DOWIEDZIEĆ.
MILLER ZWYKLE MÓGŁ UFAĆ INSTYNKTOWI, JEŚLI CHODZIŁO O KUPOWANIE W CIEMNO KRADZIONYCH RZECZY. ALE TYM RAZEM, MIMO ŻE SIEDZIAŁEM W BIURZE DO PÓŹNA, NIE UDAŁO MI SIĘ ZNALEŹĆ ŻADNYCH INFORMACJI. ZDECYDOWAŁEM SIĘ WZIĄĆ KSIĘGI ZE SOBĄ DO DOMU.

DOM PRZY JEDNEJ Z DAWNYCH STACJI METRA ODZIEDZICZYŁEM PO RODZICACH.

...WIECZORYNKA ZAPEWNIAJĄCA TWOJEMU DZIECKU AKTYWNĄ STYMULACJĘ NEURONÓW...

PRZESZUKIWANIE SIECI NIE PRZYNOSIŁO REZULTATÓW, WYGLĄDAŁO NA TO, ŻE TOMY POCHODZIŁY Z DUŻO BARDZIEJ ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW NIŻ POCZĄTKOWO SĄDZIŁEM. KIEDY PRZYPOMNIAŁEM SOBIE, ŻE NIE SĄ MOJE, ZABRAŁEM SIĘ ZA FOTOGRAFOWANIE STRON. ZAJĘŁO MI TO CAŁĄ NOC, BO CO JAKIŚ CZAS MOJĄ UWAGĘ PORYWAŁY LITERY UKŁADAJĄCE SIĘ W ZDANIA O NIEZROZUMIAŁEJ, HIPNOTYZUJĄCEJ TREŚCI.

TEGO WIECZORA PIERWSZY RAZ OD DAWNA NIE WYSZEDŁEM NA MIASTO SZUKAĆ PRZYPADKOWEGO SEKSU. NAD RANEM, LEDWO PRZYTOMNY, WEZWAŁEM KURIERA, ŻEBY DOSTARCZYŁ MILLEROWI KSIĘGI Z POWROTEM, A WRAZ Z NIMI SFAŁSZOWANE NAPRĘDCE ZWOLNIENIE LEKARSKIE.

STANISŁAW BUTOWSKI I JAN LIPIŃSKI
PRZEDSTAWIAJĄ HISTORIĘ W OBRAZKACH
ZATYTUŁOWANĄ

Symbol Miasta

WYSZEDŁEM Z DOMU DOPIERO TYDZIEŃ PÓŹNIEJ. PRZEZ TEN CZAS NIE ODBIERAŁEM TELEFONU, NIE MYŁEM SIĘ.

NIE PAMIĘTAM, ŻEBYM JADŁ I PIŁ, ALE DOOKOŁA MNIE STAŁY BRUDNE NACZYNIA. CZY SPAŁEM? NIE... ŚNIŁEM? NIE WIEM...

ALE NIE BYŁEM OTĘPIAŁY. PRZECIWNIE, UMYSŁ MIAŁEM JASNY JAK NIGDY. MIAŁEM CEL W ŻYCIU. I MIAŁEM PLAN...

ZACZĄŁEM ODWIEDZAĆ NAJDZIWNIEJSZE MIEJSCA, ISTNIENIA NIEKTÓRYCH Z NICH NIE BYŁEM DO NIEDAWNA W OGÓLE ŚWIADOM. RELIKTY PRZESZŁOŚCI I WYTWORY NAJBARDZIEJ SPACZONYCH UMYSŁÓW, JAKIE TOLERUJE DZISIEJSZE PRAWO.

...TYLE WYSTARCZY?

ZAWSZE POTRAFIŁEM CZYTAĆ LUDZI, ALE W OSTATNICH TYGODNIACH OPANOWAŁEM TE SZTUKĘ DO PERFEKCJI. KILKA MINUT ROZMOWY WYSTARCZAŁO MI, ŻEBY DOKŁADNIE WIEDZIEĆ, CO ZAOFEROWAĆ LUB CZYM POGROZIĆ, ŻEBY DOSTAĆ TO, CZEGO POTRZEBOWAŁEM.

PRACOWAŁEM CIĘŻKO I UCZYŁEM SIĘ WIELE. NIERAZ ZASYPIAŁEM NAD JAKĄŚ FOTOKOPIĄ ALBO Z NARZĘDZIEM W RĘKU. W CHWILACH ZWĄTPIENIA TOMY PODNOSIŁY MNIE NA DUCHU. KIEDY BŁĄDZIŁEM – DOSTARCZAŁY INFORMACJI. WSZYSTKO SZŁO DOBRZE...

MINĘŁO KILKA TYGODNI ODKĄD ZOSTAWIŁEM PRACĘ U MILLERA I MUSIAŁEM ZNOWU IŚĆ DO LUDZI...

ZNOWU SIEDZIAŁEM W BARZE. WÓDKA MI NIE SMAKOWAŁA, KRZTUSIŁEM SIĘ OD DYMU PAPIEROSÓW. KILKA RAZY WYSTRASZYŁEM SIĘ SWOJEGO ODBICIA W SZYBIE. NIE CHCIAŁEM Z NIKIM ROZMAWIAĆ I NIKT NIE PRZYSIADAŁ SIĘ DO MNIE. A PRZECIEŻ MUSIAŁEM...

W KOŃCU PODESZŁA DO MNIE KOBIETA – SMUTNA I ZDESPEROWANA, O ILE JESZCZE UMIAŁEM TO OCENIĆ.

MNIE? TWIERDZISZ, ŻE MNIE ZGORSZYŁAŚ? A ONA NA TO, ŻE NIE MNIE, TYLKO MOJEGO PSA I NIE ZGORSZYŁA, TYLKO...

ODPOWIADAŁEM JEJ AUTOMATYCZNIE I BEZMYŚLNIE, MOŻE NAWET ZAŻARTOWAŁEM RAZ CZY DWA. CHCIAŁA, ŻEBYŚMY WYSZLI RAZEM.

PRZEZ CAŁY TEN CZAS ZASTANAWIAŁEM SIĘ, CZY SIĘ NADAJE. TO BYŁOBY TAKIE ŁATWE... ALE NIE, NIE BYŁA ODPOWIEDNIA. BYŁA...

WRÓCIŁEM SAM DO DOMU. NASTĘPNEGO DNIA PRZESZEDŁEM DO PLANU B. UDAŁO MI SIĘ WYKUPIĆ Z KOSTNICY ŚWIEŻE KOBIECE CIAŁO.
...CZARNA NOC, MGŁA, NIE BYŁO SZANS, ŻEBY KTOŚ JEJ POMÓGŁ, Z TEGO CO WIEM. PRZYKRA RZECZ...
PRACOWAŁEM BEZ WYTCHNIENIA, ŻEBY NIE POZWOLIĆ JEJ SIĘ ROZŁOŻYĆ. KIEDY SKOŃCZYŁEM, ZASNĄŁEM Z WYCZERPANIA Z GŁOWĄ NA JEJ PIERSI.
GDY SIĘ OBUDZIŁEM, ZEGAR POKAZYWAŁ 20:41. ZOSTAŁA MI NIECAŁA GODZINA NA POPRAWKI W MASZYNIE.
DZIESIĘĆ MINUT PRZED BURZĄ PRZEPOWIEDZIANĄ PRZEZ NIEZAWODNĄ PROGNOZĘ POGODY SZUKAŁEM CZEGOŚ, ŻEBY UCZCIĆ TEN MOMENT.
ZNALAZŁEM BUTELKĘ SOKU POMIDOROWEGO. OTWORZYŁEM JĄ I PIŁEM TRYUMFALNIE.

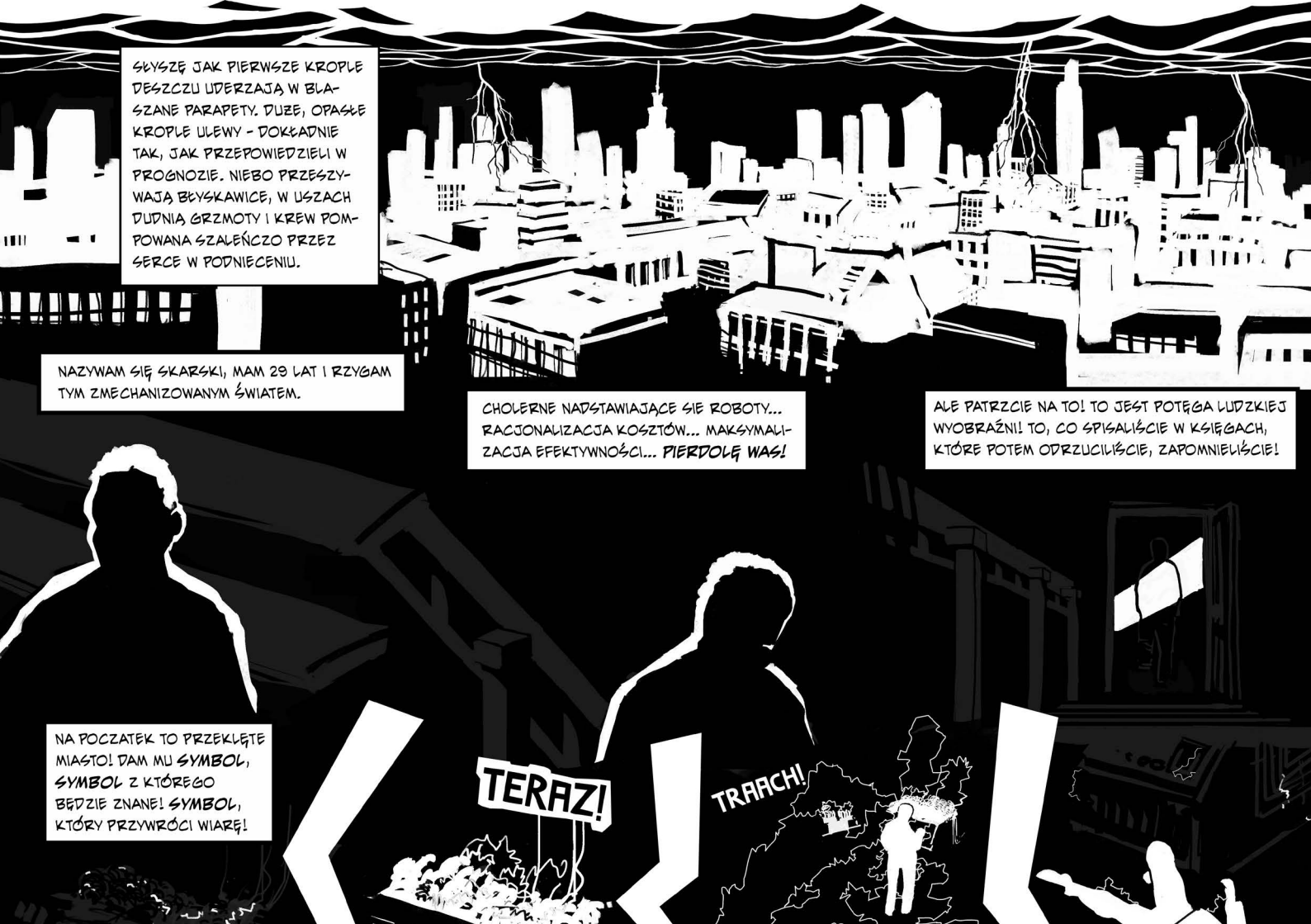
SŁYSZĘ JAK PIERWSZE KROPLE DESZCZU UDERZAJĄ W BLASZANE PARAPETY. DUŻE, OPASŁE KROPLE ULEWY - DOKŁADNIE TAK, JAK PRZEPOWIEDZIELI W PROGNOZIE. NIEBO PRZESZYWAJĄ BŁYSKAWICE, W USZACH DUDNIĄ GRZMOTY I KREW POMPOWANA SZALEŃCZO PRZEZ SERCE W PODNIECENIU.
NAZYWAM SIĘ SKARSKI, MAM 29 LAT I RZYGAM TYM ZMECHANIZOWANYM ŚWIATEM.
CHOLERNE NADSTAWIAJĄCE SIĘ ROBOTY... RACJONALIZACJA KOSZTÓW... MAKSYMALIZACJA EFEKTYWNOŚCI... PIERDOLĘ WAS!
ALE PATRZCIE NA TO! TO JEST POTĘGA LUDZKIEJ WYOBRAŹNI! TO, CO SPISALIŚCIE W KSIĘGACH, KTÓRE POTEM ODRZUCILIŚCIE, ZAPOMNIELIŚCIE!
NA POCZĄTEK TO PRZEKLĘTE MIASTO! DAM MU SYMBOL, SYMBOL Z KTÓREGO BĘDZIE ZNANE! SYMBOL, KTÓRY PRZYWRÓCI WIARĘ!
TERAZ!
TRAACH!

* CO NAJMNIEJ OD XIV WIEKU SYRENA JEST HERBEM WARSZAWY. W XVII WIEKU PRZEDSTAWIANO JĄ JAKO KOBIETĘ O SMOCZYM TUŁOWIU I PTASICH NOGACH, DZIERŻĄCĄ MIECZ I TARCZĘ. OBECNIE SYRENA PRZEDSTAWIANA JEST JAKO KOBIETA Z RYBIM OGONEM.

Początek semestru z Samorządem Studentów UW

Nowy rok akademicki rozpoczęliśmy Dniem Otwartym Samorządu Studentów UW pod hasłem „Obudź się do działania", który odbył się 13 października. W ciągu dnia czekaliśmy na studentów pod Starym BUW-em, przygotowaliśmy loterię z nagrodami i materiały promocyjne. Każdy mógł przyjść i zadać nurtujące go pytanie. Dzień Otwarty zakończyliśmy popołudniowym spotkaniem PlanszUWek – pierwsze w nowym semestrze, a także spotkaniem z przewodniczącymi Komisji przy ciasteczkach i kawie.

Przez cały październik witaliśmy nowych studentów na naszej uczelni znanym już wszystkim projektem „Witaj na UW!" Każdy mógł znaleźć coś dla siebie. W programie można było znaleźć imprezę otrzęsinową w kultowych Hybrydach, paintball, silent disco, popołudniowy spacer varsavianistyczny, PlanszUWki, a także pierwszą edycję koszykUWki. Staraliśmy się stworzyć jak najbardziej różnorodnych program, aby każdy mógł wybrać coś dla siebie.

Pod koniec października przyjechały do nas długo oczekiwane przez wszystkich studentów kalendarze akademickie na rok 2015/2016. W tym roku było ich 11 tysięcy! W 25 jednostkach zostały utworzone punkty odbioru kalendarzy, a także jak co roku w siedzibie Samorządu Studentów UW przy Krakowskim Przedmieściu. Tegoroczne kalendarze mają inny układ graficzny, dodatkowe strony przydatne do planowania oraz mapki z zaznaczonymi wydziałami i dojazdami na nie. Mamy nadzieję, że będą Wam służyć przez najbliższy rok!

Na kolejne miesiące planujemy dużo wydarzeń, dlatego zachęcamy do obserwowania naszych social media, czyli profilu na Facebooku: Samorząd Studentów Uniwersytetu Warszawskiego oraz strony internetowej:

www.samorzad.uw.edu.pl.